

621

WŁADYSLAW REGULSKI



NOWE DROGI KSIĄŻKI NA WSI

STOWARZYSZENIE BIBLIOTEKARZY POLSKICH

WALENTY REGULSKI

NOWE DROGI KSIĄŻKI NA WSI

**Z moich doświadczeń
w spółdzielni produkcyjnej**

WARSZAWA 1956

STOWARZYSZENIE BIBLIOTEKARZY POLSKICH

Opracowanie redakcyjne: *Władysław Bieńkowski*
Redaktor techniczny: *Danuta Bańkowska*

Projekt okładki i rysunki: *Stefan Styczyński*



~~1130~~



611

SBP WARSZAWA 1956

Wydanie pierwsze. Nakład 12 000+100 egz. Ark. wyd. 6. Ark. druk. 7,5.

Format A5. Pap. druk. sat. kl. V.70 g 61 × 86/16.

Podpisano do druku 25 IV 1956 r. Druk ukończono 10 V 1956 r.

Zam. nr 878/Ao Cena zł 6.00 D-7-2610

ZAKŁADY GRAFICZNE PZWS W ŁÓDZI, UL. WARYŃSKIEGO 96/98

PRZEDMOWA

Chcemy być krajem bogatym, o wysokiej stopie życiowej i wiemy dobrze, że droga do tej zamożności prowadzi jedynie przez postęp naszej gospodarki w każdej dziedzinie życia. Wiemy i to, że postęp to nie tylko mechanizacja, ale i racjonalizacja pracy — korzystanie z najlepszych doświadczeń i dokonywanie na ich gruncie nowych odkryć i udoskonaleń. A doświadczenie najskuteczniej przenosi się przez książkę i czasopismo, te dwa istotne składniki naszych księgozbiorów. Stąd też w naszych, bibliotekarskich rękach spoczywają często klucze postępu ukryte na półkach bibliotecznych. Trzeba więc, abyśmy umieli tych kluczy używać, wydobywać na jaw zasoby doświadczenia nagromadzone w rozmaitych książkach i udostępniać tym, którzy potrafią je w pełni wykorzystać.

Na wsi, gdzie nowym formom organizacyjnym gospodarki rolnej musi towarzyszyć planowość pracy, gdzie tradycyjne nawyki często zawadzają w zespołowej gospodarce i trzeba mądrze szukać nowych rozwiązań, szczególnie potrzebna jest książka fachowa, a niejednokrotnie i naukowa. Ułatwi ona znalezienie najkorzystniejszych rozwiązań trudności produkcyjnych, najważniejszych dla warunków lokalnych i dla aktualnych potrzeb gospodarczych kraju.

Skuteczność pomocy jaką w tym zakresie powinny świadczyć biblioteki zależy jest w dużej mierze od bibliotekarza. Decyduje o tym fakt czy potrafi on nawiązać stały i żywy kontakt

z tymi, którym leży na sercu rozwój gospodarczy środowiska, czy patrzy na potrzeby i trudności gospodarcze swego otoczenia jak na sprawy bliskie sobie, czy je zna, czy chce i umie pośredniczyć w wykorzystywaniu książki przez rolników-praktyków, wynajdywać w niej i dobierać to, co jest w danej chwili najpilniej potrzebne.

Chcąc to zadanie uczynić jak najbardziej bliskim naszym kolegom-bibliotekarzom przekazujemy do wydania Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich pracę Walentego Regulskiego. Autor dzieli się swymi doświadczeniami z lat, gdy będąc kierownikiem działu instrukcyjno-metodycznego Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Szczecinie osiedlił się w sąsiedztwie spółdzielni produkcyjnej i włączył się w jej pracę, torując książce drogę do codziennego życia spółdzielców.

Trzeba jednak pamiętać, że doświadczenia Walentego Regulskiego są doświadczeniami indywidualnymi — dokonywanymi w specjalnych warunkach — i nie mogą stanowić dla innych bibliotekarzy i działaczy oświatowych gotowego wzoru do bezkrytycznego naśladowania. Należy w nich natomiast dojrzeć to, co jest ich największą wartością: ostateczny cel jaki przyświecał autorowi książki tj. niesienie aktualnej, skutecznej pomocy rolnikom-spółdzielcom w doskonaleniu gospodarki i rozwiązywaniu powstałych trudności. Należy z doświadczeń Walentego Regulskiego uczyć się umiejętności wychodzenia z książką naprzeciw potrzebom środowiska i budzenia wśród rolników przekonania o użyteczności książki w ich codziennej pracy.

Każdy bibliotekarz podejmujący propagandę literatury rolniczej musi przede wszystkim sam szukać najwłaściwszych rozwiązań, dostosowanych do warunków i potrzeb własnego środowiska, biorąc przy tym pod uwagę przyjętą przez autora znaczną dowolność form organizacyjnych i metod pracy w spółdzielni produkcyjnej. Dotyczy to zwłaszcza organizowania „brygad“ roboczych w powiązaniu z prowadzeniem w nich pracy samokształceniowej.

Bibliotekarz będzie musiał oprzeć się w znacznej mierze na radach i wskazówkach agronoma, instruktora rolnego; współ-

praca z nimi jest jednym z podstawowych warunków powodzenia w tym zakresie.

Książki Regulskiego nie należy również uważać za propagandę niektórych określonych tytułów wydawnictw rolniczych lub pewnych metod pracy w rolnictwie (np. systemu trawopólno). Jest ona jedynie pamiętnikarskim opisem pracy w jednej ze spółdzielni produkcyjnych, gdzie książka odegrała poważną rolę w procesie produkcyjnym.

Pracę taką można prowadzić w zasadzie tylko w oparciu o bibliotekę z właściwie i celowo dobranym księgozbiorem.

Autor książki wielokrotnie próbował oprzeć się w swych doświadczeniach na najbliższej bibliotece, przeważnie jednak bezskutecznie, bo nie była ona do udzielenia właściwej pomocy przygotowana, brakowało w niej odpowiednich książek. Jako bibliotekarz umiał uparcie dotrzeć po książki wszędzie tam, gdzie mógł je znaleźć, bo cała jego uwaga skupiona była na sprawie przyswojenia spółdzielcom, z którymi pracował, umiejętności praktycznego korzystania z książki.

W zasadzie jednak zadania te ciążyą na bibliotekarzu. Przygotowanie zaś biblioteki, stworzenie w niej stale czynnego pogotowia poradniczego — to rzecz możliwa tylko wtedy, kiedy bibliotekarz ma dobrą wolę poznania problematyki gospodarczej swego środowiska. Wówczas może w porę zadbać o to, aby biblioteka była zaopatrzona jak najpełniej w potrzebną literaturę rolniczą opracowaną tak, aby mogła być łatwo udostępniona, by bez trudu można było znaleźć potrzebną książkę, czasopismo czy ciekawszy artykuł. Pomocne tutaj mogą być również kartoteki zagadnieniowe, katalogi wydawnictw rolniczych i poradniki czy wykazy bibliograficzne.

Na pewno przy najżywszych nawet staraniach bibliotekarzy biblioteka gromadzka nie zdoła zaopatrzyć się we wszystkie przydatne książki fachowe i nieraz w gorących momentach prac rolnych — gdy zapadać będą ważne decyzje o dalszym toku pracy — trzeba będzie szukać pomocy książkowej w powiecie czy nawet województwie.

Czas już, by z przygotowanym warsztatem pracy bibliotekarz gromadzki wszedł w samo centrum życia gromady czy spółdzielni produkcyjnej oferując swą pomoc, z ambitnym dążeniem aby nic ważnego nie działo się w jego środowisku bez udziału książki bibliotecznej. Czas, aby bibliotekarz był uczestnikiem zarówno kłopotów, jak i sukcesów produkcyjnych wsi i miał tę świadomość, że żadna książka przydatna w pracy rolnej nie próżnowała na półce i żadna możliwość pomocy książkowej nie została niewykorzystana.

Aby spełnić te zadania bibliotekarz musi dobrze poznać drogi i do postępowych działaczy wiejskich, i do przodujących praktyków okolicznych, i do instruktorów rolnych. Musi pozyskiwać ich pomoc i umiejętnie z niej korzystać, aby przez jego działalność i aktywność biblioteka i książka dały swój pełny wkład w budowę postępowych dróg rozwojowych naszego rolnictwa.

Bo to jest jedno z jego istotnych zadań.

INSTITUT KSIĄŻKI I CZYTELNICTWA
BIBLIOTEKI NARODOWEJ

I. W POSZUKIWANIU DROGI

1. A JEDNAK CHŁOP SIĘGA PO KSIĄŻKĘ

W roku 1949 na kursie kierowników bibliotek gminnych w Szczecinie pierwszy raz zetknąłem się z przekonaniem, że „chłop nie interesuje się książką, nie ma czasu czytać i nie chce czytać“. Wiedziałem, że tak nie jest, że takie przekonanie jest błędne, ale brakowało mi faktów dowodzących, że jest inaczej. Powoływałem się na przykłady z przeszłości, na *Pamiętniki chłopów* i na bijący z nich głód książki, ale otrzymałem na to odpowiedź, z którą trudno było polemizować, że „dawniej było inaczej i dziś jest inaczej“.

Godziłem się z tym, że jest inaczej, ale nie mogłem przekonać, że jest lepiej i koleżanki rozjechały się z kursu bez wiary w możliwość uzyskania lepszych wyników na terenie wiejskim.

Musiałem zdobyć argumenty do przyszłych narad i konferencji poświęconych czytelnictwu. Zwróciłem się do zarządu wojewódzkiego ZSCH z prośbą o wskazanie gromady najbardziej zacofanej pod względem kulturalno-oświatowym, a do Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej z prośbą o przydzielenie kompletu wybranych przeze mnie książek, abym mógł do tej gromady pojechać i sprawdzić, jakie są możliwości upowszechnienia czytelnictwa na wsi rozwijającej się w warunkach Polski Ludowej.

Jedno i drugie otrzymałem. Wybór padł na gromadę Strze-

szów w powiecie gryfickim i w październiku tegoż roku pojechałem tam na trzy dni.

W punkcie bibliotecznym mieszczącym się w szkole zastałem siedmiu czytelników. Kierowniczka zapewniała mnie, że chłopcy po zdobyciu miękkich foteli i materialnego dobrobytu niczego więcej nie pragną. Nie dyskutowałem z nią na ten temat, tylko wyraziłem zdziwienie, że ma odwagę wydawania tak stanowczych sądów o pragnieniach i dążeniach chłopcy.

Przy pomocy wystawy uzupełnionej roznoszeniem książek po domach zdobyłem 112 nowych czytelników, dokonałem ponad 160 wypożyczeń oraz otrzymałem sporo zamówień na książki rolnicze i z zakresu gospodarstwa domowego. Kierowniczka szkoły poczuła się tym osobiście dotknięta.

W gromadzie tej znalazłem kilku gospodarzy przygotowujących się zupełnie wyraźnie do pracy w spółdzielni produkcyjnej, chociaż na tym terenie nikt jeszcze formalnie tej sprawy nie stawiał. Jeden z nich szedł w kierunku pszczelarskim i w wyobraźni widział miód wywożony beczkami z pasieki spółdzielczej, drugi interesował się sadownictwem i szukał książek tylko o wielkich sadach, trzeci zaś myślał o eksploatacji jeziora i chciał mieć wszystko, co dotyczy hodowli ryb.

Zamówione książki wysłałem ze Szczecina za zaliczeniem pocztowym i wszystkie przesyłki zostały przez mieszkańców tej gromady wykupione.

Cały ten „sukces“ był dla mnie potwierdzeniem przekonania o zachodzących na wsi przemianach i o narastającym głodzie książki, ale niektórzy działacze oświatowi uważali, że to jest zwykły przypadek i że Strzeszów jest gromadą wyjątkową, albo że stosowałem jakieś sztuczki propagandowe.

Aby uniknąć wątpliwości co do istniejącego głodu książki na wsi, w tymże roku zorganizowałem księgonoszczostwo w Gołańczy Pomorskiej powiatu gryfickiego i w Marianowie powiatu nowogardzkiego, używając do pomocy przodowników zespołów dobrego czytania.

W Gołańczy Pomorskiej w punkcie bibliotecznym u kierownika szkoły zastaliśmy 20 czytelników, a po trzech godzinach księgonoszostwa zdobyliśmy ich 127.

W Marianowie w punkcie bibliotecznym, mieszczącym się również w szkole, nie znaleźliśmy żadnego czytelnika, mimo że punkt istniał formalnie od kilku miesięcy, a po czterech godzinach przy pomocy księgonoszostwa zdobyliśmy ich bez trudu 80.

W jednej i drugiej miejscowości pobieraliśmy pełne opłaty miesięczne, które podówczas obowiązywały.

Wysunięte przeze mnie hasło: „w każdej rodzinie przynajmniej jeden czytelnik“ okazało się zupełnie realne i przy pomocy księgonoszostwa mogło być zrealizowane w całym województwie w ciągu jednego miesiąca.

W tym okresie bibliotekarze gminni stosowali głównie pogładowe formy pracy w ramach czterech ścian biblioteki, toteż dwa lata musiały upłynąć zanim wyciągnęliśmy praktyczne wnioski z wyników księgonoszostwa przeprowadzonego w Strzeszowie, Gołańczy Pomorskiej i Marianowie.

Przez długi czas znajdowałem się pod urokiem liczby czytelników możliwej do osiągnięcia, zarówno w województwie, jak i w całym kraju. W masowości czytania widziałem rozwiązanie problemu czytelniczego. Biłem się o tę masowość i według niej oceniałem przydatność poszczególnych form pracy. Problem kierunku w czytelnictwie stanął przede mną nieco później, gdy kwestię liczby miałem już w zasadzie rozwiązaną.

2. KSIĄŻKA MOŻE POMÓC CHŁOPU W BUDOWANIU LEPSZEGO JUTRA

W roku 1950 na zlecenie TURiL badałem wpływ świetlicy gromadzkiej na życie mieszkańców Śliwina Bałtyckiego w powiecie gryfickim. Przebywałem tam dłuższy czas i wziąłem czynny udział w organizowaniu spółdzielni produkcyjnej.

Pamiętam długie godziny spędzone z chłopami, gdy po złożeniu podpisów na statucie i na podaniu do władz powiatowych, przyszedli do mnie porozmawiać o tym co będzie i jak będzie.

Decydując się na kolektywną gospodarkę odczuli potrzebę spojrzenia w nowe wspólne jutro, w nową wspólną drogę. Bez wyobrażenia sobie swej przyszłości nie mogli wytrzymać nawet kilku godzin.

Rozsiedli się u mnie, gdzie kto mógł i jak kto mógł na krzesłach, na ławie, na stole, na łóżku i na podłodze w zależności od tego, kto wcześniej, a kto później przyszedł. Porządku dziennego nikt nie ustalał, każdy w sobie miał sprawy, które chciał poruszyć. Protokołu także nie prowadziliśmy, bo nie szło tu jeszcze o formalne plany czy formalne uchwały.

Wędrowaliśmy tego wieczora i tej nocy rzemiennym dyszlem po wszystkich istniejących i nieistniejących w Śliwinie odcinkach gospodarki. Mówiliśmy o wykorzystaniu budynków na stajnię, oborę i chlewnię, o miejscu przygotowania paszy i o jej transporcie, o konieczności naprawienia instalacji wodociągowej, o łąkach i pastwiskach, o wielkim sadzie, którego rozmiarów nie zdołaliśmy ustalić, o warzywniku dostosowanym do potrzeb nadmorskich miejscowości letniskowych, o pasiece, która nie może być mała, o uprawie malin i truskawek na hektarowych kawałkach ziemi, o remoncie mleczarni i o pomieszczeniu dla Domu Kultury, o tym kto by się do czego nadawał i o tym, kto i czego powinien by się uczyć.

Zartowaliśmy i dyskutowaliśmy poważnie, opowiadaliśmy anegdoty i robiliśmy dokładne obliczenia z ołówkiem w rękę. Poruszaliśmy węzłowe zagadnienia i drobne szczegóły — szkicowaliśmy perspektywę wspólnego jutra i próbowaliśmy samych siebie w tej perspektywie zobaczyć.

Myślałem wtedy o roli, jaką przy tworzeniu perspektywy spółdzielczej mogłaby odegrać książka. Znałem kilka powieści i kilka monografii, które mieszkańcom Śliwina przydałyby się właśnie w tym okresie. Tych książek nie znalazłem ani w świetlicy, ani w szkole. Utworami Orzeszkowej czy Prusa nie można było tamtych książek zastąpić. Stwierdziłem pierw-

szy raz, że czytelnictwo nie uwzględnia zadań stojących przed gromadą i że przyczyna tego leży w braku odpowiednich książek w bibliotekach gminnych, w punktach bibliotecznych, w szkołach i w świetlicach.

3. KSIĄŻKA JESZCZE NIE POMAGA SPÓŁDZIELCOM

W lutym 1952 roku na terenie gminy Dębice powiatu nowogardzkiego organizowałem księgonoszosstwo, aby zachęcić kierowniczkę biblioteki do tej formy pracy i pomóc jej w wykonaniu planu czytelniczego.

Zatrzymałem się w spółdzielni produkcyjnej N. i stamtąd robiłem wypad do sąsiednich gromad. Któregoś wieczoru przyszedłem na kwatere późno, bo po godzinie 22-giej. Na dworze była chłapanina i kompletna ciemność. Wróciłem przemoczony i obryzany błotem.

Mój gospodarz czekał na mnie w towarzystwie dwóch sąsiadów. Na stole półlitrowka nie była jeszcze całkiem opróżniona. Z zachowania całej trójki zrozumiałem, że chcą sobie ze mną pogwarzyć, a wódki zostawili trochę dla mnie na rozgrzewkę i na rozwiązywanie języka. Przyjąłem poczęstunek i czekałem od czego zacząć. Rozmowę zagał mój gospodarz, starszy już wiekiem człowiek o typowym chłopskim wyglądzie. Wiedziałem, że pochodzi z powiatu częstochowskiego, że w spółdzielni pełni obowiązki stajennego i że cieszy się ogólnym poważaniem. Do zagajenia przystąpił z pewnym ceremoniałem: rozgarnął długie wąsy na boki, przyglądził je, zapalił fajkę, pociągnął raz, pociągnął drugi, dmuchnął dymem przed siebie, oparł się wygodniej o poręcz krzesła, zwrócił się twarzą do mnie i zaczął wolno, jak przystało na statecznego obywatela, któremu się nigdzie nie spieszy i który na wszystko ma czas.

— Powiedzcie no — jeśli możecie — na jaką to intencję wy tak po tej émocie, po tym błocie chodzicie i jeszcze te książki darmo dajecie?

Postawiwszy pytanie, przyłożył fajkę do ust i zaciągnął się dymem jakby chciał podkreślić, że na razie na tym kończy.

Nie trudno było domyślić się, że przed moim przyjściem toczyła się tu rozmowa na temat mojej pracy. W uśmiechach sąsiadów widać było wyraźne zadowolenie, aprobowali postawione pytanie i podpisywali się pod nim. Spoglądali na mnie jak myśliwi na stojącego w słupek zająca, do którego nie strzelają, bo wiedzą, że już został wzięty na muszkę przez dobrego strzelca.

Nie miałem nic przeciwko pytaniu i przeciw rozmowie, ale wolałbym, żeby wynikła bez specjalnego przygotowania z ich strony. Byłaby wtedy bardziej szczerą i bardziej przyjazną, nie robiłaby wrażenia zastawianej pułapki i łatwiej byłoby mi znaleźć z nimi wspólny język.

Wyboru jednak nie miałem i musiałem odpowiadać w takich warunkach, w jakich zostałem postawiony. Mówiłem im o ciągłości dorobku ludzkiego i przekazywaniu tego dorobku z pokolenia w pokolenie, o książce jako o skarbnicy myśli ludzkiej, o władzy ludowej, która dąży do upowszechnienia tego, co w tym dorobku jest najcenniejsze, o bibliotekach i bibliotekarzach, o wielkiej liczbie drukowanych książek i ich przeznaczeniu, o tym, że ludzie tych książek nie znają, że trzeba im te książki pokazać, aby mogli z nich korzystać, o moich obowiązkach jako kierownika działu instrukcyjno-metodycznego wojewódzkiej biblioteki i wreszcie o zamyśleniu do pracy, przy którym bardzo często nie zwraca się uwagi na warunki w jakich się swoje obowiązki wykonuje.

Widziałem, że słuchają uważnie i niekiedy wyczuwałem, że idą śladami moich myśli. Coś im jednak przeszkadzało w tej wspólnej wędrówce i kazało wycofywać się na stanowiska obserwatorów mojej drogi myślowej. Gdy skończyłem, pierwszy otrząsnął się z wrażenia mój gospodarz. Pokręcił głową, roześmiał się z mojego opowiadania jak z dobrego kawału i rozpoczął klarować, jak on to rozumie.

— Sprytnieście to wywiedli — mówił — ale mnie się widzi, że wszystko jest inaczej niż wy mówicie. — Mnie się widzi, że tu jest tak samo, jak z tym gospodarzem i źrebakiem.

— ?

— Bo, widzicie, jak się gospodarzowi źrebak wyrwie ze stajni na pole, co się często zdarza, jak zacznie używać swobody, jak zacznie wierzgać po ozimieniu i tarzać się gdzie popadnie, to gospodarz, wiecie, za nim, zalatuje mu to z tej, to z tamtej strony, macha rękami, przestępuje mu drogę i robi to póty, aż się sam zmęczy, bo przecież źrebakowi w polu rady nie da. Idzie wtedy po rozum do głowy, bierze w jedną rękę troszkę owiesku, w drugą troszkę koniczynki, niesie to przed sobą, żeby było widać, podchodzi do źrebaka i woła: cieś! cieś! cieś! Pokazuje mu, wiecie, te przysmaki i wabi go do siebie, wabi go i cofa się tyłem do podwórka. Daje mu nawet spróbować to z jednej, to z drugiej ręki, ale niech go tylko dostanie, niech go tylko uwiąże przy korycie, albo zamknie w kojcu, to skopsa go ile wlezie, im się bardziej namęczy, tym go bardziej skopsa.

Tak samo i wy skopsacie nas, żeście musieli chodzić po tych drogach i chałupach i za tą ćmotę, i za tą chlapaninę, i za to, że wam się trzewiki rozlazły, i za to, że będziecie spali u mnie na ławie, a nie u siebie na łóżku. Skopsacie nas, na pewno nas skopsacie. niech tylko pójdziemy za waszym owieskiem i za waszą koniczynką.

Mówił to w gwarze ludowej, mówił jak artysta, jak najlepszy recytator. Naśladował dźwięki i ruchy zarówno gospodarza, który za źrebakiem gonił, jak i źrebaka, który najpierw wierzgał a potem był kopsany. Mówił to z przekonaniem i z pasją.

Podczas jego występu, bo tak to muszę nazwać, sąsiedzi nie mogli usiedzieć spokojnie, bili się z uciechy po kolanach, a gdy skończył, wybuchnęli śmiechem pełnym zadowolenia z przeżytych wrażeń i z mojej porażki. W ich przekonaniu leżałem na obydwu łopatkach i nie miałem nic do powiedzenia na swoją obronę.

Zadowolony był również z siebie mój gospodarz, poprawił fajkę, która mu w tym czasie przygasła, pociągnął kilka razy,

uśmiechnął się do mnie spod wąsa i dodał od niechcienia, jakby kropkę nad i stawiał:

— Tak to, wiecie, jest.

Pozwoliłem im nacieszyć się zwycięstwem do woli. Miejscami sam nawet się z nimi śmiałem, bo byłem jakoś dziwnie spokojny o wynik rozmowy. Wiedziałem jaki popełniają błąd. Postanowiłem jednak zerwać z inteligentkimi wywodami i w dalszej dyskusji przejść na płaszczyznę stajni, żrebaka i pola, bo to było dla nich zrozumiałe.

Gdy się już prawie uspokoili, podziękowałem najpierw gospodarzowi za porównanie książki do owieska i do koniczynki, bo jedno i drugie jest tak samo dobrym pokarmem dla koni, jak książka dla człowieka. Takie porównanie książce nie ubliża, bo są ludzie dla których książka ma taką samą wartość, jak dobrze wypieczony chleb, jak miód prosto z ula lub jak pachnący, dojrzały owoc.

Godzili się z tym przytakując głowami, ale ich to jeszcze o niczym nie przekonywało.

Przechodząc do żrebaka zapytałem ich po prostu, czy on nie zdechnie z głodu i zimna, jeśli zostanie na polu bez opieki gospodarza, bez stajni, bez koniczynki i bez tego owieska.

Obydwaj sąsiedzi spowaźnieli jakby na własnej skórze odczuli chłód, a w żołądkach oznaki głodu. Spojrzeli na mnie, przenieśli wzrok na gospodarza i na nim go już zatrzymali. Ten również spowaźniał, postukał wygasłą fajką o stół, pomyślał chwilę, a widząc, że w odpowiedzi nikt go nie wyręczy, głosem zmienionym, bardziej ciepłym i pozbawionym ironii, zaczął mówić:

— Splantowaliście mnie, jak lepiej nie trzeba. Wiem, że są gdzieś kraje, w których konie mogą żyć w stepach bez opieki gospodarza i bez jego stajni, ale u nas pozostawione na polu zdechną i z głodu, i z zimna. Zdechną na pewno.

Zrobił krótką przerwę, zapalił naładowaną fajkę i ciągnął dalej:

— Z tym wierzganiem po ozimie też jakoś głupio wyszło, bo to przecie i chleb dla gospodarza, i obrok dla konia.

Tu znowu zatrzymał się, jakby szukał brakującego słowa, wstał, przeszedł się do proga, zawrócił, spojrzął i na mnie, i na swoich gości, poweselał jakoś i powiedział z rozbrajającą szczerością:

— Coś mi się, wiecie, w tym wszystkim pokręciło i nie wiem ani co, ani w czym.

Atak na książkę został odparty, ale ja na tym nie mogłem poprzestać. Musiałem dowiedzieć się o jaki owiesek i o jakie kopsanie im chodziło, bo istota sprawy w tym właśnie leżała. Nawiązując do ostatnich słów gospodarza zaproponowałem:

— A może ja wam pomogę to coś odszukać?

— A no spróbujcie — odparł — tylko, że ze znajemy będzie gorzej, bo jak widzicie w butelce już nic nie ma.

Gestem wyraziłem żal, aby nie obrażać jego przyjaznych zamiarów i ciągnąłem dalej:

— Wydaje mi się, że wy tu wszyscy, jak jesteście, zgubiliście jedną bardzo ważną rzecz, a mianowicie — spółdzielczą drogę.

— ???

— Powiedzcie szczerze obywatelu stajenny, bo od was zacznę, do czego wy dążycie, gdzie chcecie być, co chcecie mieć i jak zamierzacie spędzić pozostałe lata?

Poruszyło to całą trójkę. Takiego pytania nie spodziewali się. Roześmieli się w głos, a bardziej żywy i energiczny sąsiad, jak się następnie okazało były przewodniczący spółdzielni, wyręczył gospodarza w odpowiedzi.

— To nie jest tajemnica, kumoter, o tym wszyscy wiedzą, że wy chcecie wyjechać do swojej wsi pod Częstochowę, zabrać ze sobą córkę, tam ją ożenić z jakimś kuzynem, oddać jej tych 12 mórg ziemi, któreście tam poddzierżawili, zapisać sobie alimenty i pozostać przy niej aż do końca. Tylko, że ona nie chce tam z wami jechać i nie wiadomo czy co z tego wyjdzie.

Gospodarz nie spieszył się odkryciem jego tajemnicy, bo rzeczywiście zamiaru swego nie ukrywał, ale przykro mu było, że to tak nagle zostało postawione i że zostało nazwane zgubieniem spółdzielczej drogi. Był przekonany, że chociaż sprawami spółdzielni nie żyje, nadal jest dobrym spółdzielcą. Odbił więc

swoją przykrość na przewodniczącym i przypomniał mu o jego staraniach wydostania się ze spółdzielni i objęcia pracy w GS. Przy tej okazji dowiedziałem się, że ten trzeci jest zięciem gospodarza i że już pracuje w GS.

Dalej już mogłem sobie wszystko dośpiewać, ale chodziło mi o ich własne widzenie sprawy.

— A więc jednak zgubiliście spółdzielczą drogę — stwierdziłem — i to zgubiliście wszyscy, bo jeden z was już całkiem odszedł, a reszta myśli o odejściu, myślami wędruje gdzie indziej i nogami gdzie indziej. Powiedzcie jednak, skąd się u was wzięła sama chęć przejścia na inną drogę? Przecież takie rzeczy nie przychodzą tak ni stąd ni z owąd, one muszą na jakimś gruncie wyrastać, z jakiegoś źródła płynąć.

— To jasne — rzekł zięć gospodarza, który dotychczas nie zabierał głosu — szukamy innej drogi, bo na tej nie znaleźliśmy tego, co miało być, co się mówiło, że będzie. A każdy chce mieć lepiej.

— Ależ wyście nie mieli znajdować tego lepszego, wyście mieli to lepsze zbudować i stworzyć wysiłkiem mózgow i mięśni, mieliście to lepsze wypracować dla siebie przy pomocy środków, które państwo oddało do waszej dyspozycji. Czyście tych środków nie mieli?

— To prawda, ale jakoś nie wyszło.

— U was nie wyszło, a u innych wychodzi. Może wam powiedzieć dlaczego u was nie wyszło?

Wyraziłem chęć dania odpowiedzi na postawione pytanie, ale pragnąłem, żeby mnie ktoś wyręczył, chciałem, żeby odpowiedź wyszła od nich.

Przewodniczący od dłuższego czasu coś w sobie ważył, gryzł dolną wargę, gniótł krawędź krzesła palcami, bo ręce miał podłożone pod uda i patrzył na czubki swoich butów. Gdy moje pytanie zawisło w powietrzu, poderwał się i wyrzucił z siebie.

— Ja wiem dlaczego nie wyszło. Cały rok miałem z tym do czynienia, a przede mną mieli inni. Za dużo jest u nas źrebaków, co wierzgają po gospodarskiej ozimynie i uważają w dodatku, że mają do tego prawo. Codziennie, na każdym kroku

tratują to, co jest podstawą do lepszego, z czego to lepsze może wyrosnąć, a potem dziwią się, że tego lepszego nie ma. To pewne, że na początku widzieliśmy inaczej, bo może być lepiej i powinno być lepiej, tylko że się tego wierzganiem nie wywołuje.

Powiedziawszy to zaczął wyliczać większe i mniejsze straty, jakie spółdzielnia poniosła na skutek wadliwej postawy członków, na skutek zaniedbań i opóźnień w gospodarce, obojętności, braku inicjatywy i wiedzy zawodowej.

Nie potrafił dokładnie wiązać skutków z przyczynami, nie potrafił nazwać tych przyczyn, ale dla mnie było jasne o co mu chodzi.

Gospodarz porzucił rezerwę i filozofowanie, bo w wielu miejscach był osobiście zaatakowany. Zaczął odpierać ataki wskazując na błędy innych, które się na jego robocie odbiły, zaczął atakować i przewodniczącego, i były zarząd, zaczął wydobywać sprawy świadczące o braku myśli gospodarczej, o braku umiejętności kierowania ludzkim zespołem, o odbijaniu się przywar osobistych na gospodarce spółdzielczej i na współżyciu członków. Do polemiki włączył się również zięć gospodarza i krąg spraw rozszerzał się coraz bardziej.

Ja nie zabierałem głosu. Mój głos tam już nie był potrzebny. Słuchałem co mówią i porównywałem swoje dotychczasowe zabiegi czytelnicze z tym wszystkim, co działo się przed rokiem i co dzieje się obecnie w tej spółdzielni. Moje starania o liczbę czytelników i o liczbę wypożyczeń były bardzo luźno związane z tym co się działo w spółdzielczej gromadzie.

Planowaną liczbę czytelników zdobyłem, a jeden z uczestników dyskusji był nawet zapalonym czytelnikiem. Cóż z tego, kiedy jego zainteresowania życiowe, tak samo jak i zainteresowania reszty czytelników zdobytych w tej gromadzie, nie mogły być przeze mnie zaspokojone z powodu braku odpowiednich książek.

Słuchałem, co mówią dyskutujący i kurczyłem się w sobie. Było mi wstyd, że mając taki oręż w rękę, jakim jest książka.



nie potrafiłem w swoim czasie udzielić im pomocy w ich walce o urzeczywistnienie tego, co na początku drogi spółdzielczej widzieli i co ich na tę drogę pociągało. Przecież rozstrzygnąć spór, który wiodli przy mnie i którym żyli od dawna, powinna im pomóc książka, nie jedna książka a cała biblioteka książek odpowiadających potrzebom dzisiejszej wsi.

4. SZUKAM KSIĄŻEK ORAZ METODY WIĄZANIA ICH Z GOSPODARKĄ

Wiosną 1953 r. na zlecenie biblioteki wojewódzkiej pojechałem do Kozielic w powiecie kamieńskim na okres dwóch miesięcy, aby w bezpośrednim kontakcie z życiem spółdzielców stawiających pierwsze kroki zaplanować spis książek dostosowany do potrzeb przebudowującej się wsi szczecińskiej.

Spis ten jeszcze przed jego opracowaniem nazwaliśmy „zestawem operatywnym“. Wypożyczanie z tego zestawu miało być podstawą do oceny pracy kierowników bibliotek gminnych i kierowników punktów bibliotecznych.

Biblioteka wojewódzka wyciągnęła wniosek z obserwacji przeprowadzonych w wielu spółdzielniach produkcyjnych i zamierzała uruchomić zestaw książek, który miał pomóc spółdzielcom w kroczeniu po nowej drodze.

W Kozielicach stanąłem wobec kolektywu tworzącego się z wybujałych indywidualności, których przywary groziły albo bijatykami i rozlewem krwi, albo zahamowaniem procesu uspołecznienia gospodarki.

Był to okres pierwszej wspólnej orki i pierwszego wspólnego siewu, okres dawania wkładów członkowskich w postaci koni, ziarna, sadzeniaków, narzędzi i maszyn rolniczych, okres tworzenia wspólnego pastwiska, wspólnej obory i chlewni, okres początków kierownictwa i początków dyscypliny pracy.

Przez dwa miesiące występowałem w roli współorganizatora gospodarki spółdzielczej, w roli opiekuna całości i w roli doradcy zarządu. Poznałem wszystkie sprawy spółdzielni i sprawy

jej członków. Widziałem, jak się odbija postawa poszczególnych członków na gospodarce spółdzielczej i jak ta gospodarka zaczyna się odbijać na ich postawie; co jest wynikiem braku wiedzy i uświadomienia, a co wynikiem złej woli; gdzie jest potrzebna nauka, a gdzie hamulec w postaci opinii publicznej lub w postaci prawa; gdzie trzeba w codziennej praktyce usuwać złe nawyki, a gdzie wystarczy poprawić metodę kierowania zespołem.

Szukałem w tym wszystkim miejsca dla książki i znajdowałem je, mogłem wiązać tytuły książek, a nawet ich rozdziały i urywki z poszczególnymi sytuacjami społecznymi, z poszczególnymi odcinkami gospodarki, z poszczególnymi zabiegami agro- czy zootechnicznymi, a nawet z poszczególnymi dodatnimi czy ujemnymi cechami członków.

Widziałem np. jakich książek brakuje kowalowi, pod którego opiekę oddane zostały wszystkie maszyny rolnicze, jakie książki powinni przeczytać członkowie, którzy nie chcieli oddać do spółdzielni maszyn rolniczych i jaką książkę powinien przeczytać ob. Dziobak, aby się zawstydić, że za narzędzia kowalskie pochodzące z szabru, od własnej spółdzielni na samym początku jej istnienia wypompował 3000 złotych z zaliczki podjętej przez nią na plantację buraka cukrowego.

Planowałem dobór książek dla całego kolektywu, dla poszczególnych działów gospodarki, dla poszczególnych zagadnień i dla poszczególnych osób. Główną formę widziałem jeszcze wówczas w indywidualnym czytaniu książek i w wieczorach dyskusyjnych. Odczytywanie na zebraniach urywków z książek zmierzało w moim rozumieniu do pozyskania indywidualnego czytelnika.

Nie widziałem jeszcze organizacyjnej formy czytelnictwa zespołowego, które miałoby bezpośredni wpływ i na kształtowanie postawy członków, i na rozwój gospodarki spółdzielczej.

Jedynym zespołem czytelniczym, który zaczął mi się wyraźnie zarysowywać, był zarząd spółdzielni. Podjąłem nawet próbę wspólnego czytania książek z członkami zarządu, ale ich

dzień był tak wypełniony działalnością praktyczną, że na czytanie książek nie mogli już znaleźć czasu.

Spółdzielnia w Kozielicach pod koniec roku została uznana za pierwszą w powiecie spośród nowozałożonych, a jej przewodniczący otrzymał dyplom uznania.

Wywiozłem z Kozielic zestaw książek dostosowany do potrzeb większości spółdzielni produkcyjnych, a składający się z ponad 400 pozycji, a oprócz zestawu dwa wnioski. Pierwszy zmierzał do tego, aby każdy kierownik biblioteki gminnej zaopiekował się jedną spółdzielnią produkcyjną, bywał na walnych zebraniach, poznawał sprawy, którymi żyją spółdzielcy i do tych spraw dostosowywał wypożyczanie książek.

Drugim wnioskiem było pragnienie, aby wyjechać na okres roku do spółdzielni produkcyjnej, zorganizować czytelnictwo w powiązaniu z gospodarką, znaleźć zespołową formę pracy dostosowaną do potrzeb spółdzielni i po zdobyciu osobistego doświadczenia organizować podobną pracę w całym województwie przy pomocy kierowników bibliotek gminnych i punktów bibliotecznych.

Wniosek pierwszy został wprowadzony w życie. Nasi bibliotekarze biorą udział w walnych zebraniach członków spółdzielni, poznają ich sprawy i dostosowują do nich pracę biblioteki. Niejedna spółdzielnia odniosła już z tego realny pożytek, a niejeden bibliotekarz odczuł wartość pracy z książką.

Wniosku drugiego nie potrafiłem należycie uzasadnić i jego wykonanie musiałem wziąć na własną odpowiedzialność i na własne ryzyko.

II. PRZY WARSZTACIE PRACY

1. MOJA „BAZA“ I MOJE WYPOSAŻENIE

W lutym 1954 roku znalazłem się na stanowisku kierownika szkoły w Dzwonowie powiatu stargardzkiego. Środowiska nie wybierałem, bo wychodziłem z założenia, że w każdych warunkach da się coś zrobić.

Warunki w szkole zastałem rzeczywiście trudne, brak światła, mróz w klasach i brak pomocy naukowych. Przede mną było tu siedmiu kierowników i żaden miejsca nie zagrażał.

Przyjechałem w czasie niewłaściwym, bo okres jesienno-zimowy, najbardziej nadający się do pracy z książką, już się skończył. Przyjechałem bez książek. Miałem je otrzymywać w miarę zapotrzebowania z biblioteki wojewódzkiej, co równało się wypisywaniu narzędzi z magazynu odległego o 100 km dla naprawy samochodu, który utknął w drodze.

Wiedziałem jednak po co przyjeżdżam. Znalazłem poszukiwaną metodę pracy z książką i chciałem ją tu wypróbować. Uchwały IX Plenum KC PZPR i tezy przedzjazdowe upewniły mnie, że jestem na właściwej drodze. Przyjechałem po to, żeby:

- 1) zorganizować samokształcenie rolnicze w „brygadach jutra“, jeżeli takie brygady uda mi się stworzyć i w brygadach produkcyjnych, które już istnieją, a pod którymi rozumiałem najmniejsze nawet zespoły członków, ponoszących odpowiedzialność za określone odcinki gospodarki spółdzielczej,

- 2) wykazać pożytek jaki gospodarce spółdzielczej może przynieść książka rolnicza, jeśli potraktuje się ją jako towarzysza pracy, jako znającego się na rzeczy fachowca, który chce i może pomóc.
- 3) udowodnić, że praca bibliotekarza może być oceniana nie tylko trudną do ujęcia wartością estetycznych i moralnych wzruszeń, mających pośredni wpływ na osiągnięcia gospodarcze, ale i samymi konkretnymi wynikami pracy spółdzielców,
- 4) nauczyć się takiej roboty i uzyskać podstawę do jej upowszechnienia.

2. USTALAMY ZADANIA GOSPODARCZE DLA PRACY SAMOKSZTAŁCENIOWEJ

Ob. Poczeczyński, przewodniczący spółdzielni, dotrzymał słowa i zaraz na drugi dzień po wstępnej z nim rozmowie zwołał posiedzenie zarządu z udziałem kilku aktywniejszych członków. Z półgodzinnym opóźnieniem, ale jednak przybyło ich siedmiu. Była to czwarta część ogólnej liczby członków. Po przywitaniu się, po grzecznościowych zapytaniach i odpowiedziach przewodniczący poinformował zebranych, że zwołał ich na moją prośbę i oddał mi głos.

O sprawach spółdzielni coś niecoś już wiedziałem, bo mówili mi o tym przewodniczący i księgowy, toteż bez dłuższego wstępu rozpocząłem od tego co było mi znane.

— Gospodarka wasza nie przedstawia się dobrze — mówiłem. — Dniówka obrachunkowa wyniosła u was w gotówce 4,80 złotego, a w zbożu 4,25 kilograma. Nie wykonaliście ani planowanej odstawy tuczników, ani planowanej odstawy mleka. Nie macie odpowiedniej paszy ani dla świń, ani dla krów i odstawy na ten rok są również zagrożone. Nie wiem czy znajdzie się w województwie kilka takich spółdzielni jak wasza, bo wszędzie gdzie byłem napotykałem stan o wiele lepszy.

— U nas co roku, to gorzej — odezwał się ob. Pawłowski, który był pierwszym przewodniczącym w ciągu jednego kwartału — gospodarujemy już czwarty rok i zamiast się poprawiać, to się pogarsza.

— Nie wiedziałem, że gospodarujecie już czwarty rok, ale to co jest dowodzi, że wasze błędy ściągnęły was na samo dno biedy i że teraz pozostaje wam tylko piąć się ku górze. Jestem przekonany, że w tym roku rozpoczniecie marsz w kierunku dobrobytu i chcę wam w tym dopomóc, chcę dopomóc wam w zrobieniu pierwszego zdecydowanego kroku w tym właśnie kierunku.

Tu przerwał mi ob. Baran. Uznał za konieczne przypomnieć, że było już wielu takich, co chcieli językiem pomagać, gadali, gadali, odjechali i tyle z nich zostało.

Zgodziłem się z tym co powiedział, dodałem, że nawet takich ludzi znam osobiście i wróciłem do przerwanej wątku.

— Na tym właśnie polega różnica między mną, a tamtymi ludźmi — mówiłem — że ja ani nie mam zamiaru odjeżdżać zaraz, ani nie mam zamiaru kończyć na gadaniu. Chcę włączyć się do waszych spraw na czas dłuższy. Chcę udzielić wam konkretnej pomocy i dlatego proszę, abyście wskazali, które odcinki waszej gospodarki idą najgorzej.

Kilku spółdzielców zaczęło mówić równocześnie, ale ponad nich wybił się głos przewodniczącego, który uciszył resztę.

— Chlewnia nas zarzyna — dowodził — to dziurawy worek w który ciągle ładujemy, a on ciągle pusty. W chlewni pełno ryjów, a nic z niej na odstawę nie można wydobyć, bo wszystko do niczego. Miejsca już nie ma i prosięta musimy sprzedawać. Zamiast sprzedawać tuczniki, to my sprzedajemy prosięta. Wszystko idzie na opak.

Wywody przewodniczącego uzupełnił księgowy, który poinformował, że spółdzielnia dopłaciła w ubiegłym roku do chlewni 26 000 złotych, bo karmiła prawie 100 sztuk, a odstawiła tylko 6. Wszyscy godzili się z tym, że z chlewnią trzeba jak najprędzej zrobić jakiś porządek, bo to już nie tylko wielka strata, ale i wielki wstyd.

Po chlewni przyszła kolej na oborę. Tu znowu z mlecznością krów było źle. Na przypadające w ubiegłym roku do odstawy 17 000 litrów mleka, odstawiono tylko 12 000 litrów. W tym roku do odstawienia przypada 25 000 litrów, a krów będzie tylko o trzy sztuki więcej. Jak z tego wybrnąć? Jak wykonać plan, jeśli się mleczność krów nie poprawi?

Oborowy próbował iść w kierunku rewizji planu, bo według niego był on za duży, ale spółdzielcy byli innego zdania. Oni uważali, że 16 krów może dać 25 000 litrów mleka, bo krowy spółdzielcze nie są złe.

Zadania dla pracy samokształceniowej zarysowały się wyraźnie. W chlewni trzeba zorganizować przepływ trzody i doprowadzić do odstawienia 5000 kg żywca, a w oborze zwiększyć mleczność krów bez mała dwukrotnie w stosunku do roku ubiegłego i doprowadzić do wykonania planu.

Z uzupełnieniem zadań wystąpił ob. Pawłowski. Przypomniał on o 200 jabłoniach posadzonych jesienią i o tym, że w planie na bieżący rok przewiduje się dosadzenie nowych 100 drzewek. Tymi drzewkami musi się ktoś zaopiekować — przekonywał — bo inaczej zmarują się i spółdzielnia nie będzie miała sadu.

3. TWORZYMY „BRYGADY“

Po wyznaczeniu zadań gospodarczych dla pracy samokształceniowej przyszła kolej na utworzenie zespołów, które zajmą się ich wykonaniem. Z półślówek, z żartobliwych pytań i odpowiedzi widziałem, że interesuje ich forma pomocy. Rozumieli oni dobrze, że ja nie zamienię się ani w chlewnmistrza, ani w oborowego, ani w sadownika. Wierzyli w moją dobrą wolę, co widziałem nawet z zachowania się ob. Barana, wiedzieli, że to na zwykłym gadaniu nie może się skończyć, bo ani w chlewni, ani w oborze, ani w sadzie niczego gadaniem się nie robi, ale nie potrafili odpowiedzieć sobie na pytanie — jak ja będę im pomagał?

• Wątpliwościom tym dał wyraz ob. Stelmach, który zabrał głos akurat w tej chwili, gdy o tej sprawie zacząłem mówić.

— Tu, tu, tu właśnie, kierowniku, leży cała rzecz — skandował uradowany, że może swoje myśli wypowiedzieć. — Ja cały czas słuchałem uważnie i czekałem, kiedy wy to poruszycie. Po mojemu to naszą gospodarzkę można by porównać do naładowanego wozu, który zjechał do rowu i który musi być stamtąd wyciągnięty pod górę. Wy chcecie nam pomóc. Myśmy przygotowali dla was trzy orczyki przy tym wozie, dwa z nich to nawet mocne i grube. Będzie za co ciągnąć. Tylko powiedzcie, kierowniku, jakie to wy konie chcecie zaprząć do tych orczyków? Czy wy nie na nas czasem patrzycie i nie nas bakikiem chcecie popędzać?

Roześmieliśmy się wszyscy, bo Stelmach nie mówił tego złośliwie. Na jego pytanie musiałem odpowiedzieć twierdząco i przy tworzeniu brygad szerzej to uzasadnić.

— Podejźmy do pierwszego orczyka — mówiłem wykorzystując Stelmachową przenośnię — ktoś tam już przy nim jest, prawda?

— Jest Gąbka.

— Daliście mu chyba sztywne robocznodniówki, bo inaczej nie chciałby takiej chlewni prowadzić?

— Tak, ma 2,25 dniówki obrachunkowej dzień w dzień.

— To przy tym chlewiarskim orczyku postronki nie są zanadto napięte i obywatel Gąbka idzie sobie dosyć luźno obok wozu spółdzielczego. Zgadzaście się chyba z tym?

Wszyscy się z tym zgodzili, bo sytuacja w chlewni najwyraźniej o tym mówiła, tylko ob. Baran stanął w obronie zięcia.

— A może obywatel Gąbka nie zna się na hodowli świń i dlatego w tej chlewni tak kiepsko idzie? — postawiłem pytanie, aby nie przesądzać niczego o postawie Gąbki.

— On swoich 10 tuczników takich odchowiał, że daj Boże każdemu — brzmiała odpowiedź Barana.

— To gorzej, bo to znaczy, że w chlewni spółdzielczej robi nie to co trzeba, lecz to co mu jest wygodne, świadomie zwalnia postronki przy orczyku i coś niecoś bumeluje. Czy nie uważacie

obywatelu Stelmach, że obywatelowi Gąbce trzeba pomóc, żeby postronki napiął i rzetelniej zabrał się do roboty?

— Zgoda kierownika, ale przecież my od tego mamy zarząd. On powinien dopilnować wszystkiego i powiedzieć Gąbce co i jak robić.

Taki punkt widzenia spotykałem w wielu spółdzielniach i uważałem go za przyczynę strat, jakie gospodarka spółdzielcza ponosiła, toteż z miejsca postanowiłem wypowiedzieć mu walkę.

— To wyście wszystko na zarząd włożyli? To zarząd ma myśleć i za Gąbkę w chlewni, i za Łebkowskiego w oborze, i za Bednarskiego w stajni, i za Barana w kuźni, i za Pidsudkową w magazynie, i za brygadzystę polowego, i za każdego z was przy każdej robocie? To wyście siebie zwolnili od myślenia i troski o wspólne gospodarstwo i chcecie żeby było lepiej?

A przecież między wami są tacy, którzy byli przewodniczącymi spółdzielni i tacy, którzy byli członkami zarządu, są tacy, którzy będą przewodniczącymi i będą członkami zarządu. Czyżby oni wszyscy mieli być zwolnieni od obowiązku myślenia o sprawach spółdzielni jedynie dlatego, że jedni z nich przestali już pełnić funkcję w zarządzie, a drudzy jeszcze do tego zarządu nie weszli?

Czy nie w tym właśnie leży przyczyna waszej biedy? Czy nie to spowodowało, że dniówka obrachunkowa jest u was taka mała, że mniejsza już prawie być nie może?

— Tak źle znowu nie jest, żebyśmy mieli wszystko składać na zarząd i na przewodniczącego — wyjaśniał ob. Kwiatkowski. — O chlewni nie jeden raz mówiliśmy na walnych zebraniach, dawaliśmy rozmaite wskazówki i rady, ale kończyło się na tym, że prowadzący chlewnię obrażali się i odchodzili do innej roboty.

— Przecież my w ciągu jednego roku trzy razy zmienialiśmy obsadę chlewni i za każdym razem robiło się gorzej.

— My rozumiemy, że pomagając Gąbce pomożemy samym sobie, ale nie wiemy, jak się do tego zabrać, żeby nasza pomoc

i jemu i nam pasowała. W tym leży cała trudność, bo dobrej woli nam nie brak. Dodatkowej pracy żaden z nas się nie boi i każdy na pewno się gdzieś dołączy, jeśli będzie widział, że to do czegoś prowadzi. Mówcie, kierownik, jak wy to sobie wyobrażacie, bo to w tej chwili rzecz najważniejsza.

Mogłem już mówić i o samokształceniu, i o brygadach.

— Najwięcej mówiliśmy o chlewni — rzekłem — więc na przykładzie chlewni spróbujemy całą sprawę wyjaśnić. Stelmachowe orczyki doprowadziły nas do odkrycia pierwszej przyczyny, która spowodowała załamanie się waszej gospodarki. Tą przyczyną jest brak aktywności członka, któremu powierzyliście prowadzenie chlewni.

Jest rzeczą jasną, że bez zwiększenia aktywności obywatela Gąbki i bez jego twórczej inicjatywy nie będziemy mogli postawić chlewni na nogi. Musimy w pierwszym rządzie doprowadzić do tego, żeby Gąbka chciał wykonać stojące przed nim zadanie.

Jest jednak — mówiłem dalej — druga przyczyna nie mniej ważna od pierwszej. Tą przyczyną jest brak wiedzy z zakresu hodowli. Gąbka tej wiedzy nie posiada, chociaż odchowwał pięknie swoich 10 tuczników. Bez tej wiedzy chleractwa z chlewni nie usuniemy, nie zapewnimy przepływu stada, nie wykonamy planu i nie odnowimy pogłowia. Musimy doprowadzić do tego, żeby obywatel Gąbka umiał wykonać stojące przed nim zadanie, żeby zdobywał wiedzę, korzystał z doświadczeń przodujących hodowców i na nich opierał swoją codzienną pracę w chlewni.

W jednym i drugim wypadku musimy Gąbce pomóc, bo on sam siebie do pracy nie ustawi, nie wytworzy w sobie chęci i woli i w pojedynkę nie będzie mógł zdobyć wiedzy, potrzebnej do wyprowadzenia chlewni z upadku.

W jaki sposób możemy Gąbce pomóc? Na dzisiejszym zebraniu wytypujecie dwóch albo trzech członków do zaopiekowania się chlewnią. Przy typowaniu weźmiecie pod uwagę zainteresowania i możliwość uzyskania ich zgody. Mogą to być również członkowie rodzin, bo rozszerzenie poczucia odpowiedzialności

za gospodarke spółdzielczą na wszystkich, którzy z niej żyją, jest nie tylko potrzebne, ale i konieczne.

Ci członkowie razem ze mną i z obywatelem Gąbką tworzyć będą brygadę chlewni, którą w odróżnieniu od brygad, jakie już istnieją we wszystkich spółdzielniach produkcyjnych, nazywać będziemy brygadą samokształceniową.

— Na wniosek zarządu walne zgromadzenie upoważni tą brygadę do zaopiekowania się chlewnią i uczyni z niej organ doradczy w zakresie spraw dotyczących chlewni. Brygada ze swej strony przyjmie na siebie odpowiedzialność wobec walnego zgromadzenia za wykonanie planu i wezwie którąś z sąsiadujących spółdzielni do współzawodnictwa w zakresie hodowli trzody chlewnej.

Członkowie brygady odwiedzać będą chlewnię możliwie najczęściej, obserwować będą wszystko, co się w niej dzieje i zbierać się będą raz w tygodniu na naradę, celem omówienia najważniejszych spraw i wskazania praktycznych zaleceń hodowlanych.

Nasze narady będą inne od tych, jakie wy prowadzicie na walnych zebraniach. Narady w brygadzie samokształceniowej odbywać się będą z książką w rękę. My na książki patrzeć będziemy jak na fachowców, jak na reprezentantów nauki i przodujących praktyków. Tym fachowcom zadawać będziemy pytania ściśle związane z potrzebami chlewni i szukać będziemy u nich wskazówek, jak w danym wypadku postąpić. Jeśli nie znajdziemy rady u jednego fachowca, to zwracać się będziemy do drugiego. Wciągniemy do swej pracy takich ludzi, którzy mieszkają o setki i tysiące kilometrów od nas, z ich doświadczeń i z ich wiedzy będziemy korzystać.

Zalecenia wydawane w wyniku tych narad nie będą raziły obywatela Gąbki. W poszukiwaniu tych zaleceń on sam będzie brał udział, będzie wiedział skąd się wzięły i co mają na celu, będzie wiedział jakie szkody pociągnie za sobą ich zlekceważenie, a jakie korzyści przyniesie ich zastosowanie. Wskazaniom nauki nie będzie się przeciwstawiał, bo wyglądałby śmiesznie, a śmiesznym być na pewno nie chce.

Działalność brygady nie będzie jednak mogła kończyć się na wydawaniu zaleceń. O ich wykonanie brygada będzie musiała prowadzić walkę i z Gąbką, i z zarządem, i z walnym zgromadzeniem. Do takiej walki członkowie brygady muszą być przygotowani. Dla przykładu wezmę sprawę jednego parnika ziemniaków na dobę, który w waszej chlewni jest tradycyjnie stosowany. Rozmowy z naszymi fachowcami wykażą, że obecnie świniom trzeba dawać nie jeden parnik a dwa. Przyjmujemy, że ziemniaków macie pod dostatkiem.

Do takiego wskazania obywatel Gąbka nie od razu się zastosuje, bo zwiększa ono dwukrotnie jego pracę. Będzie wynajdywał rozmaite trudności. Może tu wyjść i sprawa opału, i pomieszczenia, sprawa mrozu i pomocy przy wydobywaniu ziemniaków z kopca. Brygada będzie musiała dopilnować, aby zalecenia jak najszybciej weszły w życie, będzie musiała naciskać na Gąbkę. Może jednak zajść taki wypadek, że trudności nie będą tkwiły u Gąbki, lecz u przewodniczącego, który powie, że więcej ziemniaków dla chlewni nie przydzielili, bo jest ich mało i może zabraknąć do sadzenia.

Brygada chlewni będzie musiała wtedy stawiać sprawę na walnym zgromadzeniu, będzie musiała wykazać, że wielu członków posiada duże zapasy ziemniaków i że zapasy te mogą być zakupione albo na paszę, albo na sadzeniaki. Brygada będzie musiała przekonać walne zgromadzenie, że takie załatwienie sprawy jest konieczne.

Trudno przewidzieć w jakim kierunku pójdą wnioski tej brygady. Pewne jest, że pojawi się inicjatywa, pojawią się konkretne próby ruszenia sprawy z miejsca i po kilku miesiącach wasza chlewnia może nie być w niczym podobna do dzisiejszej.

Podobnie przedstawiają się zadania stojące przed oborą. Sytuacja w oborze nie jest tak groźna, krowy są zdrowe i obywatel Łebkowski stara się o nie, ale bez naszej pomocy, bez pomocy książki fachowej, mleczności nie podniesie i planu nie wykona.

Tu również trzeba utworzyć brygadę i powierzyć jej oborę. Metoda pracy będzie ta sama. Tak samo członkowie brygady będą musieli zaglądać do obory, poznawać jej braki, sięgać po radę do książek, wyciągać z nich wnioski i starać się, żeby w praktyce były stosowane.

Z sadem jest trochę inaczej. Przed pół rokiem był on tylko zamierzeniem, istniał w planie i w czyjejs wyobraźni. Dziś sad jest faktem, chociaż nie wiadomo ile tych drzewek po zimie zostanie. Możecie ograniczyć się do tego coście zrobili, a możecie pójść dalej i rozszerzyć go do rozmiarów 5 czy 6 ha. To wszystko zależeć będzie od tego, czy znajdą się tacy członkowie, którzy w wyobraźni swojej zobaczą ten wielki sad i czy będą starali się o to, aby został wstawiony do planu i zrealizowany.

Tu zadania produkcyjnego jeszcze nie ma, sad się dopiero zakłada. Zamiast ciągnąć z niego zyski, trzeba robić wkłady; trzeba chodzić koło niego „za darmo“ jak koło dziecka. Straty drzewek nikt poważnie nie odczuje, a drzewka są bezbronne i nie robią hałasu, gdy się je ze skóry odziera. Biedny jest młody sad, gdy nie ma opiekuna, tak jak i biedne jest dziecko, gdy nie ma rodziców.

Sad musi mieć swoich opiekunów, musi mieć zespół ludzki, który będzie poznawał naturę drzewek i ich potrzeby, który będzie troszczył się o ich rozwój, formował owocodajne pędy i chronił przed szkodnikami.

Zadanie brygady sadowniczej ma szczególny urok, wybiega ono w jutro, to jutro tworzy i dlatego zespół ludzki w jednym i tym samym składzie będzie tu mógł pracować przez dłuższy okres czasu. Obserwacja i książka będzie tu jedyną podstawą do wyciągania wniosków praktycznych, do ustalania kiedy i jakie zabiegi pielęgnacyjne powinny być stosowane, bo żaden z was nie ma doświadczeń sadowniczych.

Nad samokształceniem w każdej brygadzie obejmę kierownictwo, będę utrzymywał bezpośredni kontakt z fachowcami, to znaczy z książkami, będę ich szukał i sprowadzał do was, będę was z nimi poznawał i będę ułatwiał z nimi rozmowę... Włączę się sam do tych trzech orczyków, o których wspomniał

ob. Stelmách i włączę wam tych fachowców, ale bez waszego udziału nic się tu nie da zrobić. Wy także musicie trochę wolnego czasu poświęcić, na to, aby spółdzielczą gospodarkę wydzwignąć. Oto jak widzę swoją pomoc dla was.

Po moim wyjaśnieniu zabrał głos ob. Bednarski pełniący obowiązki stajennego. Nie miał nic przeciwko tej pracy, jemu się nawet podobała, tylko chciał wiedzieć jaką zapłatę otrzymają ci, którzy się do niej zaborą.

— Taki Gąbka albo Łebkowski — mówił sepleniąc nieco z powodu braku przednich zębów — otrzymają premie jeśli przekroczą plan. A poza tym, to należy do ich obowiązków. Oni powinni się starać, żeby było jak najlepiej. Ale co będą mieli inni członkowie, którzy im będą pomagać? Przecież taka robota wymaga czasu. Jeden wieczór w tygodniu trzeba na to poświęcić, a w domu można by to i owo popchnąć.

Nie dziwiłem się Bednarskiemu, że o to zapytał. Myślał realnie i chciał wiedzieć co za swoją pracę otrzyma. Przypuszczam, że nie tylko jemu taka myśl w głowie powstała. Widocznie przy referowaniu sprawy niezbyt jasno wykazałem, gdzie ten pożytek leży.

— Spróbuję wam na to pytanie odpowiedzieć — rzekłem trochę zakłopotany, że muszę się powtarzać — bo ono jest bardzo ważne. Przecież bez korzyści nikt żadnej pracy nie podejmuje. Przypuśćmy, że uda nam się chlewnię postawić na nogi, że wykonamy plan, a nawet go przekroczymy. Do kasy spółdzielczej wpłynie wtedy około 30 000 złotych, będziemy mieli paszę treściwą na następny rok i w przyszłym roku możemy ten dochód podwoić. Przypuśćmy, że i w oborze praca nam pójdzie dobrze i zamiast 12 000 odstawimy 25 000 litrów mleka. Stąd także do kasy spółdzielczej wpłynie dodatkowo 12 000 złotych. Jedno z drugim da nam 42 000 złotych. Sad na razie nie przyniesie żadnego dochodu, będzie rósł i rozwijał się na późniejszy pożytek wszystkich członków, a więc i na pożytek wasz. Gdybyśmy zdobyłą przez nas sumę wzięli do podziału pomiędzy 28 członków, to na każdego wypadnie akurat

po 1500 złotych, czyli połowa tego, co wyście otrzymali w go-
tówce za dniówki obrachunkowe w ubiegłym roku.

Czy w tym nie widzicie zapłaty dla siebie za dodatkową pracę,
która ten dochód spowodowała?

— No tak, ale to przypadnie i na tych, co siedzieli w chałupie
i dodatkowo nic nie robili.

Pomyliłem się — Bednarski widział pożytek ogólny, ale nie
widział dodatkowego pożytku dla siebie. To mnie zaskoczyło,
musiałem mocniej podkreślić pożytek ogólny.

— W tych trzech brygadach — ciągnąłem — które utwo-
rzymy, zatrudnionych będzie dodatkową pracą 10 członków.
Reszta zostanie na boku, to prawda. Ale czy moglibyście zare-
czyć, że oni do takiej pracy nigdy się nie włączą, że nie zaopie-
kują się jakimś odcinkiem gospodarki, albo nie stworzą nowego,
gdy zobaczą, że to co robimy przynosi realny pożytek. Przecież
w waszej spółdzielni jest tyle rzeczy do zrobienia. Sad już
zapoczątkowaliście, ale nie macie w nim pasieki, nie prowadzicie
hodowli drobiu, wasze łąki są zaniedbane, z burakami źle wam
idzie — w zeszłym roku musieliście zaorać trzy hektary, wydaj-
ność z hektara nie jest u was najlepsza, macie braki w zabudo-
waniach itd. itd.

— Czy myślicie, że reszta nie pójdzie za tą dziesiątką i nie
zacznie szukać miejsca dla twórczej pracy, która zapewni im
dobrobyt?

Mnie się wydaje, że przyjdzie czas, w którym każdy członek
spółdzielni będzie studiował jakąś dziedzinę wiedzy rolniczej,
będzie należał do jakiegoś zespołu, który tę wiedzę wykorzy-
stuje w praktyce, będzie zainteresowany specjalnie jakąś
uprawą czy hodowlą, będzie o tę uprawę czy hodowlę szczegól-
nie dbał, będzie starał się podnosić wydajność na wybranym
przez siebie odcinku nie tylko dlatego, że to zwiększy jego
osobisty dochód, ale i dlatego, że to zadowoli jego ambicję
twórczą. Przy takim ustawieniu członków myśl gospodarcza
upowszechni się, stanie się własnością wszystkich, znikną błędy
w planowaniu, znikną zaniedbania w wykonaniu planów,

znikną straty i wyrosnie dobrobyt, jako nagroda za twórczy wysiłek.

Czy nie uważacie, obywatelu Bednarski, że nad tym warto popracować?

— Tak, ale do tego to jeszcze daleko.

— Może nie tak daleko. bo już pierwszy krok robimy. To nie wyklucza jednak udziałów w premii za przekroczenie planu produkcyjnego, tylko, że na ten temat warto byłoby mówić dopiero wtedy, gdy się już plany przekroczy.

Wszyscy zgodzili się z tym, że wyznaczanie premii za udział w samokształceniu byłoby niewłaściwe, a wyznaczanie udziału w premii za przekroczenie planu jest co najmniej przedwczesne.

Skład brygad został zaplanowany tegoż dnia. Po trzech dniach odbyło się walne zebranie członków, poświęcone wyłącznie tej sprawie, zasady samokształcenia w brygadach zostały przyjęte i skład brygad zatwierdzony.

Współzawodnictwa z sąsiednimi spółdzielniami nie stawiałem zbyt mocno i nie doszło ono do skutku.

W dziesięć dni później dla samokształcenia rolniczego zostało wyznaczone nowe zadanie. Wyłoniło się ono na walnym zgromadzeniu członków spółdzielni, gdy ob. Franciszek Dąbrowski, brygadzysta polowy, zaatakował samokształcenie rolnicze nazywając je bezcelowym marnowaniem czasu.

Wystąpienie jego było dość dziwne, bo sam nigdzie się nie włączył i czasu nie „marnował“, a forma tego wystąpienia była ostra i przykra.

— Książką krowy nie nakarmię — mówił poirytowany — krowie trzeba dać do pyska, żeby mleko dawała. Póki gospodarowałem na własnym kawałku ziemi, to miałem dla krów wszystkiego pod dostatkiem, mogłem im dawać ile zjadły i mleko dawały wiadrami. A teraz co mam? Wszystko spółdzielnia zabrała. Myślicie, że od papieru będą mi doły? Papier im będę podtykał?

Wywiązała się z tego szeroka dyskusja, bo chodziło o sprawę zasadniczą. Sięgnęliśmy wtedy do uchwał IX Plenum, do błędów w planowaniu gospodarki spółdzielczej, do winy jaką

za te błędy ponosi również ob. Dąbrowski, do możliwości zabezpieczenia bazy paszowej w ramach gospodarki spółdzielczej i zatrzymaliśmy się na trawopolnym systemie. Wyjaśniłem na czym ten system polega i spółdzielcy postanowili wsiać mieszanek wieloletnich traw i roślin motylkowych na 4-hektarowym kawałku ziemi, aby zrobić próbę przejścia na trawopolny system gospodarowania.

Na stanowisku brygadzisty zaszła zmiana — ob. Dąbrowski ustąpił, a jego miejsce zajął ob. Stelmach. Stałem wobec czterech zadań gospodarczych i wobec czterech brygad samokształcenia rolniczego.

Skład brygad przedstawiał się następująco:

brygada chlewni: St. Gąbka — chlewiarz, St. Bednarski — stajenny, E. Poczeczyńska — żona przewodniczącego;

brygada obory: J. Łebkowski — oborowy, J. Wyrwał — członek zarządu, W. Dąbrowski — brat brygadzisty;

brygada sadownicza: Z. Pawłowski — były przewodniczący, J. Stelmach — brygadzista, A. Iskrowa — przewodnicząca Rady Kobiet, T. Parada — zamiłowany pszczelarz;

brygada systemu trawopolnego: A. Poczeczyński — przewodniczący, Z. Kwiatkowski — były przewodniczący, J. Godula — księgowy.

4. PRZEBIEG SAMOKSZTAŁCENIA W BRYGADZIE CHLEWNI

Zebrania naznaczyliśmy na środy. Miejscem zebrań miało być biuro spółdzielni, ale w praktyce stało się moje mieszkanie, bo w biurze najczęściej zastawaliśmy drzwi zamknięte. Narad przeprowadziliśmy siedem. Na pierwszą naradę oprócz członków brygady przyszedł przewodniczący, księgowy i oborowy.

Pytanie brzmiało: „skąd się wzięło cherlactwo w naszej chlewni i co mamy robić, żeby je usunąć?”

Wyjaśnienia szukaliśmy w następujących książkach:

1. Zootechnika 9: *Higiena i zapobieganie chorobom zwierząt.*

2. E. Domański i współautorzy. *Choroby trzody chlewnej.*
3. *Poradnik weterynaryjny.*

Książki te najpierw przestudiowałem sam i przygotowałem odpowiednie rozdziały do głośnego czytania na naradzie.

Znalezienie odpowiedzi nie było łatwe, bo przyczyn jest wiele i sama choroba w podręcznikach została opisana zbyt krótko. Nie byliśmy również pewni czy nasze spostrzeżenia są dokładne i czy objawy podawane w książkach odpowiadają objawom, jakie my zauważyliśmy u świń. Doszliśmy jednak do wniosku, że chleractwo powstało u nas na tle trudnej do wyleczenia awitaminozy A, a sama awitaminoza spowodowana została wadliwym pomieszczeniem, błędami w żywieniu, brakiem powietrza, ruchu i słońca.

Nie mogliśmy iść w kierunku natychmiastowej zmiany pomieszczeń, bo to było niewykonalne, ale postanowiliśmy zabiegać, aby przeróbka budynku pod nową chlewnię jak najprędzej została rozpoczęta. Z książek dowiedzieliśmy się, że paszę należy zmienić, bo była zbyt jednostronna; ziemniaki, śruta jęczmienna i woda nie wystarczą. Zaczęliśmy szukać, którą z zalecanych pasz spółdzielni posiada i okazało się, że oprócz plew koniczynowych niczego więcej nie ma. Postanowiliśmy te plewy dodawać do ziemniaków i prosić zarząd spółdzielni o śrutę jęczmienia z owsem, bo o bobiku i o peluszcze nie mogło być mowy.

Poszukując paszy zetknęliśmy się oko w oko z brakiem myśli gospodarczej w naszej spółdzielni. Trzody chlewnej nie było czym żywić, bo nad jej potrzebami nikt się nie zastanowił.

Rozważając sytuację doszliśmy do wniosku, że hodowlę świń trzeba rozpocząć od nowa, to znaczy — od kupna remontowych loszek i knura, bo całe pogłowie jest zdegenerowane i nic się z niego nie da wybrać na odnowienie stada. Z takim wnioskiem wystąpiliśmy do zarządu i wnioski nasz został przyjęty.

Nie przypuszczałem, że taka ważna i zarazem prosta sprawa jak kupno loszek i knura może być zahamowana przez zwykły brak wiadomości, gdzie te loszki można kupić. Ani w gminie,

ani w POM, ani w Wydziale Rolnym Prezydium PRN niczego na ten temat nie mogliśmy się dowiedzieć.

Poszukiwania loszek trwały cały miesiąc i dopiero broszura J. Dąbrowskiego *Jak dobierać i nabywać zwierzęta dla spółdzielni produkcyjnej* przesłana przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną wskazała nam drogę. Dowiedzieliśmy się z niej i o rejonizacji, i o kredytach państwowych, i o formach zakupu, ale przede wszystkim o tym, że istnieje Centrala Obrotu Zwierzętami Hodowlanymi, przy pomocy której możemy sprawę załatwić. Wojewódzka biblioteka nawet nie wyobraża sobie jak w porę mi tę broszurę przesłała.

W pracy brygady nastąpiło załamanie zaraz po pierwszej naradzie. Ob. Gąbkę przyłapano na wynoszeniu buraków pastewnych. Sąd honorowy orzekł zwrot pięciu kwintali. Gąbka poczuł się dotknięty i zrezygnował ze stanowiska chlewnistrza.

Przesilenie trwało dwa tygodnie, bo ob. Poczeczyński chciał zmusić sąd do zmiany wyroku i nie starał się o zastąpienie ob. Gąbki kim innym.

O samokształceniu w czasie przesilenia nie mogło być mowy. Po Gąbce chlewnię objęły H. Germańska i J. Pasierbkowa. Obydwie oświadczyły mi, że ich myślenie na nic tu nie jest potrzebne, bo do nich należy wykonywanie poleceń zarządu i nic więcej. Widziałem, że przewodniczący prowadzi podwójną grę, jego żona wycofała się z brygady, obydwójce chcą udowodnić, że bez Gąbki chlewnia nie pójdzie. Musiałem pokrzyżować zamiary Poczeczyńskiego i przekonać chlewnistżynie, że ich inicjatywa jest konieczna.

Opracowałem plan obrotu stadem trzody chlewnej, bo takiego nie było i przedłożyłem ten plan zarządowi do zatwierdzenia. Po zatwierdzeniu planu zaczęły obowiązywać terminy odstawy tuczników i terminy dochodzenia poszczególnych gniazd do określonej wagi. To był zabieg pierwszy.

Zaprowadziłem przewodniczącego i chlewnistżynie do gniazda siedmiomiesięcznych warchlaków, znajdujących się w ciemnym kojcu i pokazałem im rzecz, o której one wiedziały,

ale przewodniczący nie wiedział. Na dziewięć świnek było tam piętnaście knurów, które mimo cherlactwa mogły doprowadzić do zaproszenia równie cherlawych świnek i uczynić chlewnię spółdzielczą sławną na całe województwo. To był zabieg drugi.

Te dwa zabiegi okazały się skuteczne i narady ruszyły z miejsca. Ob. Poczeczyński przestał uprawiać podwójną grę, a chlewnistrzynie przekonały się, że ich inicjatywa jest konieczna.

Terminarz odstawy tuczników zaczął niepokoić chlewnistrzynie. Zrozumiały, że plan jest rzeczą ważną i że trzeba brać udział w planowaniu, jeśli ono dotyczy ich własnej pracy. Do wyznaczonych terminów miały zastrzeżenia, toteż na drugiej naradzie plan obrotu stadem wzięliśmy do przerobienia.

Oparliśmy się na pracy E. Wiszniewskiego *Organizacja fermy trzody chlewnej w socjalistycznych gospodarstwach*, która jako wkładka zastała zamieszczona w książce S. Hosera *Chów trzody chlewnej*.

Podczas tej narady podzieliliśmy stado na gniazda, ustaliliśmy ich wiek, zaczęliśmy te gniazda przeprowadzać z miesiąca na miesiąc, przewidywać ich wagę i ustalać terminy odpływu na spęd. Stado uszeregowało się w grupy, rozmieściło się w czasie, rozpoczęło marsz ku wyjściu i chlewnistrzynie w wyobraźni zobaczyły sztuki odstawiane na plan. Uwierzyły w możliwość zorganizowania takiego odpływu i zdały sobie sprawę, że warunkiem jest tu odpowiednie karmienie dające przyrost na wadze.

Oprócz odpływu, zaplanowaliśmy także dopływ. Ustaliliśmy terminy oproszenia macior i terminy oproszenia loszek, które dopiero zostały zamówione. Dzięki planowaniu chlewnia zaczęła wypełniać się „narybkiem“ dla którego trzeba było robić miejsce w określonym czasie i to jeszcze bardziej podkreśliło konieczność terminowej odstawy tuczników.

Opracowując plan obrotu stadem chlewnistrzynie objęły całość zagadnienia, zobaczyły chlewnię w rozwoju i zaczęły czuć się jej kierowniczkami. Zorientowały się, że one lepiej wiedzą co i kiedy jest świniom potrzebne niż przewodniczący,

który od tych spraw jest daleko. Zorientowały się, że ich obowiązkiem jest przypomnienie zarządowi o potrzebach chlewni, a nie oczekiwanie, żeby zarząd wskazywał im te potrzeby.

Ta zmiana postawy była rezultatem pierwszej z nimi narady.

Tematem następnej narady stało się pytanie: „Jak i czym karmić, aby zwiększyć przyrost na wadze“?

Po uzupełnieniu paszy plewami koniczynowymi świnie zaczęły się poprawiać, zaczęły wyżerać z koryt i domagać się żarcia. Przyglądając się im stwierdziłem, że zaczęły rosnać. To było bardzo dużo, ale nie rozwiązywało sprawy. Wiedzieliśmy, że plew na długo nie starczy i że z ziemniakami może być źle, gdy odkryją kopce, zabiorą ile trzeba do sadzenia oraz oddadzą członkom resztę należności za roboczości z ubiegłego roku. Nikt nie wie ile tych ziemniaków jest i może ich nawet do sadzenia zabraknąć. Jeśli do tego czasu nie usuniemy z chlewni przynajmniej połowy „tuczników“, to cały nasz wysiłek pójdzie na marne, stado cofnie się w rozwoju i powróci do stanu z pierwszych dni lutego.

System karmienia pozostał jeszcze taki jaki był. Starym zwyczajem wszystkie sztuki były jednakowo karmione, nawet maciory prośne otrzymywały to samo co warchlaki — rozbełtaną, wodnistą masę. Taki system karmienia podtrzymywał swoimi zaleceniami przewodniczący, a ponieważ było to wygodne dla chlewnistrzyń, więc go stosowały — mniej miały roboty. Chlewnia otrzymywała nadal ziemniaków na jeden parnik i 50 kg śruty.

Szukałem książek, które by coś mówiły o wyjściu z takiej sytuacji, szukałem przykładu, który mógłbym wziąć jako podstawę do narady samokształceniowej, poświęconej racjonalnemu żywieniu trzody w naszych warunkach.

Przejrzałem Hosera *Chów trzody chlewnej* i *Żywnienie świń na bekony*, Kielanowskiego *Chów świń* i *Jak szybko i oszczędnie tuczyć świnie*, Mazarskiego *Żywnienie świń tłuszczowo mięsnych*, Zootechnikę — *Chów trzody w fermie spółdzielczej*, Zootechnikę 6 — *Chów trzody chlewnej*, Zootechnikę 2 — *Baza paszowa* i nigdzie niczego na ten temat nie znalazłem.

Wyjście musieliśmy znaleźć sami i pomógł nam w tym opracowany przez nas na poprzedniej naradzie plan obrotu stadem. W tym planie mieliśmy stado podzielone na gniazda, które w jednakowym rytmie posuwały się ku wyjściu z chlewni. Przewidując ten jednakowy rytm, nie braliśmy pod uwagę, że w pewnej chwili zabraknie nam paszy i całe stado zatrzyma się w miejscu zanim zdąży chlewnię opuścić. Na tym polegał nasz błąd i ten błąd poprawiliśmy. Zaplanowaliśmy szybszy marsz gniazd stojących bliżej wyjścia, kosztem gniazd będących na początku. Bez szerszych tłumaczeń chlewnistrzynie zrozumiały, że wymaga to zmiany w karmieniu i że przestudiowanie zaleceń nauki jest rzeczą konieczną.

Przejrzelśmy wszystkie podręczniki traktujące o normach żywienia i postanowiliśmy się oprzeć na wskazówkach zawartych w Zootechnice 6, bo one wydały się nam najprostsze. Ta prostota była jednak pozorna — brakło nam mieszanki białkowej i nie mieliśmy jej czym zastąpić. Do dyspozycji pozostały nam tylko ziemniaki, śruta jęczmienno-owsiana i plewy. Obliczyliśmy minimum wskazywane przez fachowca i okazało się, że jest ono trzy razy większe od tego, co my świniom dajemy. Otrzymanie większej ilości śruty i plew było niemożliwe. Mogliśmy liczyć tylko na większą porcję ziemniaków, bo były jeszcze w kopcu i nikt ich nie wymierzył. Wystąpiliśmy z wnioskiem i wniosek został przyjęty.

Od tego czasu zamiast jednego parnika — szły dwa, tuczniki zaczęły otrzymywać zawieszistą masę, a gdy po dwóch miesiącach przyszedł kryzys ziemniaczany — tuczników już w chlewni nie było, poszły na spęd. Półroczny plan odstawy mięsa został przekroczony, zamiast 25 kwintali odstawiliśmy 34. Był to pierwszy realny wynik samokształcenia w brygadzie chlewni.

Spółdzielnia miała kłopoty z sadzeniakami, musiała je kupować u członków, ale i na to dzięki chlewni znalazło się rozwiązanie. Dziesięć warchlaków poszło na wolny rynek i pieniądze na kupno ziemniaków starczyło.

Po załatwieniu sprawy tuczników należało przejść do macior, bo tam sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

Cztery maciory z knurem znajdowały się w pomieszczeniu bez dostępu światła i świeżego powietrza. Drzwi tego pomieszczenia stale były zamknięte i okienka w nim żadnego nie było. Wszystkie maciory były prośne, bo od dwóch miesięcy przebywały z knurem w tym samym pomieszczeniu. Pośrodku tej ciemnicy wykopały sobie dół na głębokość człowieka i w tym błotnistym dole żyły.



...i w tym błotnistym dole żyły

W trzech kojcach trzy inne maciory oczekiwały na wyproszenie. I one przez tamtą norę przeszły i po odstawieniu od prosiąt miały do niej powrócić, bo w chlewni spółdzielczej taki panował zwyczaj. Można było temu zaradzić, ale nikt się tym zbyt nie przejmował. Maciory jakoś nie zdychały i jakoś rodziły. Prosięta po odstawieniu od macior czerniały i popadały w cherlactwo, ale nikt jednego z drugim nie wiązał.

Sprawę macior na kolejnej naradzie postawiłem sam. Zaproponowałem przeczytanie i przedyskutowanie broszury Z. Gruszinej *27 prosiąt od maciory*. Chlewnistrzynie zgodziły się, bo tytuł był interesujący. My w planie przewidzieliśmy tylko 12 prosiąt od maciory. Zaczęliśmy obliczać, ile mielibyśmy prosiąt przy takiej wydajności od 9 macior, które chcemy utrzymać w naszej chlewni. Z obliczeń wypadło, że mielibyśmy nie 108 lecz 243 prosięta, czyli o 135 sztuk więcej. To niemożliwe. Przecież za te nadliczbowe prosięta można by uzyskać 20 000 złotych i opłacić nimi dodatkowo nie jedną a dwie chlewnistrzynie, które by się specjalnie tymi maciorami zajmowały. To na pewno jakaś „bujda“. Ano zobaczymy — rzekłem — i w tej atmosferze niewiary zacząłem czytać opowiadanie Gruszinej. Okazało się najpierw, że ta Gruszina to nie żaden teoretyk, tylko taka sama chlewnistrzyni jak one, która rozpoczęła pracę w chlewni bez żadnego przygotowania i otrzymała ją w takim stanie jak nasza. To usunęło nieufność. Zaczęły Gruszinę porównywać ze sobą, a jej chlewnię z naszą. Zarysowały się podobieństwa i różnice. U nas z pomieszczeniem było źle i tam nienajlepiej, tylko że my czekaliśmy na nowy budynek i w starym niczego nie poprawialiśmy, a tam Gruszina rozpoczęła naprawę we własnym zakresie. U nas do korzystania z książek trzeba było namawiać, a Gruszina sama tych książek szukała. My zaplanowaliśmy 12 prosiąt od maciory, bo tyle można było uzyskać bez podejmowania specjalnego wysiłku, a Gruszina na pierwszy raz zaplanowała 18 prosiąt, bo miała ambicję osiągania lepszych wyników niż przeciętne. My nie liczymy się z najbardziej elementarnymi potrzebami naszych macior, a Gruszina te potrzeby studiowała i każdą z nich starała się zaspokoić. Na tle troskliwej opieki jaką Gruszina otaczała swoje maciory, nasze „zabiegi hodowlane“ były wyrazem barbarzyńskiego stosunku do zwierząt. Nad broszurą Gruszinej dyskutowaliśmy przez dwie kolejne narady. Dotknęliśmy wszystkich błędów i zaniedbań, jakie istniały w naszej chlewni. Zrozumieliśmy wiele spraw, które dotychczas były dla nas niejasne. Wyjaśniliśmy przyczyny małej liczby prosiąt

w miotach, dowiedzieliśmy się, dlaczego prosięta rodzą się nieżywe albo po urodzeniu zdychają, dlaczego kilka prosiąt w miocie jest ładnych, a reszta marnych, jak należy obchodzić się z maciorą przed oprosieniem i po oprosieniu, co trzeba prosiętom dawać i kiedy, ale rzeczą najważniejszą było zrozumienie, że o wszystkim decyduje postawa człowieka.

Wniosków praktycznych niewiele mogliśmy podjąć, bo chodziło głównie o wydobycie macior z nory i wyjście z tego znaleźliśmy. Zrobiliśmy przesunięcia w ramach gniazd i zwolniliśmy dla nich jeden kojec.

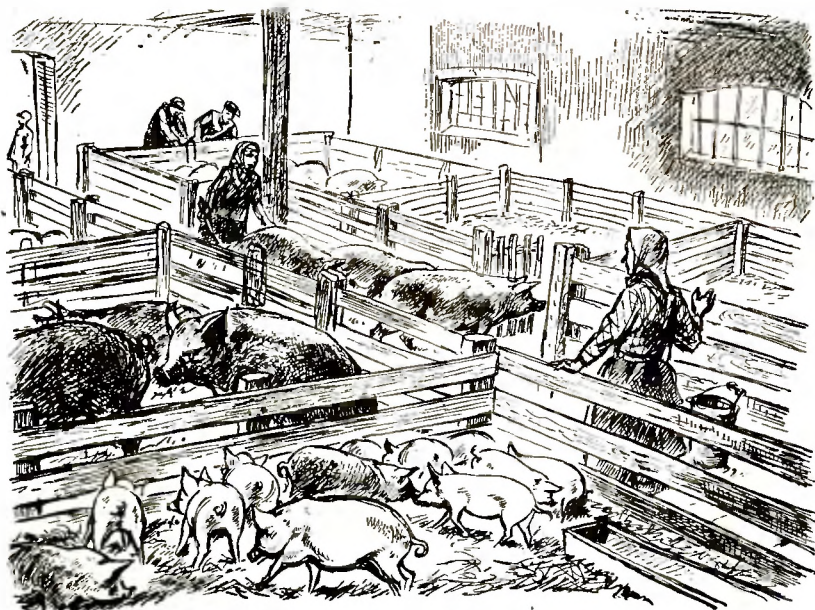
Wyniki tych narad poszły jednak dalej — zmienił się stosunek chlewnistrzyń do pracy. Teraz już loszki remontowe mogły nadejść — były bezpieczne.

Nowy budynek dla chlewni został wykończony, przyszedł czas przeprowadzki i rozmieszczenia stada w mniejszych klatkach. Dawny podział na gniazda musiał ulec zmianie, bo nowe warunki tego wymagały. Maciorki remontowe także już nadeszły i należało przewidzieć dla nich miejsce. Przenosiny wymagały zaplanowania, aby uniknąć bałaganu i możliwej straty. Narada w tej sprawie nie odbyła się z książką w ręku i mógłby jej ktoś nie zaliczać do narad samokształceniowych, ale ja ją za taką uważam. Dzięki zaplanowaniu przeprowadzki rozmieszczenie stada nie trwało dłużej niż godzinę. Nie przewidzieliśmy tylko, że młody knur, który niedawno został zakupiony, potrafi przeskakiwać z klatki do klatki i przekreślać nasze plany odnośnie macior przeznaczonych do tuczu. Dwie takie maciory musieliśmy z rejestru tuczników wycofać i włączyć do rejestru macior prośnych.

Kryzys ziemniaczany wymagał przejścia na inną paszę. Mieśliśmy w chlewni 3 maciory z prosiętami, 9 macior prośnych, 25 warchlaków na odstawę jesienną, 2 sztuki do odpasienia na dożynki i knura. Czym karmić taką gromadę?

Sięgnęliśmy do broszury R. Blenau *Tanie i nie wyzyskane pasze w żywieniu świń*. Ten fachowiec zajmuje się wykorzystaniem odpadków przemysłowych, których u nas nie ma. Jego

rady co do odpadków kuchennych są dla nas również nieprzydatne. Przerywamy „rozmowę“ z R. Blenau i przechodzimy do broszury S. Aleksandrowicza *Pastwiska i zielonki w żywieniu świń*. Autor zajmuje się głównie pastwiskiem, którego u nas nie ma, ale wspomina również o karmieniu zielonką w chlewni i na okólniku, mówi, że można skarmiać zielonką



Rozmieszczenie стада не trwało дłúжеј niż годинę

całą. Dotyka w jednym zdaniu mieszanki żyta z wyką ozimą, ale nie podaje szczegółów karmienia. Szkoda, bo właśnie taką mieszankę mamy. Podaje ilości paszy dodatkowej przy karmieniu świń lucerną, ale nie mówi w jakiej formie tę dodatkową paszę podawać. Sięgamy do innych podręczników, znajdujemy tam wskazówki ile kilogramów zielonki można dawać

świniom. Liczby te nie zgadzają się ze sobą, jeden autor mówi o 6 kilogramach, a drugi o 20. Wybór jest dość trudny, bo nie wiadomo na kim się oprzeć.

Rozpatrujemy po kolei wszystkie zebrane wskazówki. Państwisko odpada, bo świń na łąkę razem z krowami nie wypędzimy. Koniczyny nam nie dadzą, bo trudny jest dojazd i musieliby specjalnie dla chlewni po nią jeździć. Seradela jest za mała, a wyka — kontraktowana. Pozostaje tylko mieszanka żyta z wyką ozimą. Jak ją podawać? Do dawania w całości potrzebny jest okólnik, a przewodniczący mimo przyrzeczeń jeszcze go nie zrobił. Czy można liczyć, że zrobi? Zdaje się, że nie, bo po odstawieniu tuczników przestał o chlewnię dbać. Zagrożenie minęło. Wobec tego trzeba podawać ciętą. Tylko kto ją będzie ciął i kto ją będzie przynosił do chlewni z odległości 100 metrów? Jak to jest zorganizowane w innych spółdzielniach? Nie wiem i nie znam takiej książki, która by o tym mówiła.

Ile tej zielonki dawać? Tyle ile zjedzą. Jak? Fachowcy nie mają nic przeciwko temu, żeby zaparzać gorącą wodą i mieszać ze śrutą. Potrzeby macior uwzględnimy w ilości dodanej śruoty i w ilości dolanego mleka. Resztę ziemniaków skarmiać będziemy po trochu, żeby nie robić nagłego skoku od jednej pa-szy do drugiej.

W sprawie przejścia na zieloną paszę tyle nam pomogły książki. Do dnia dzisiejszego w ten sposób świnie są karmione, zmienia się tylko rodzaj zielonki. Świnie rozwijają się dobrze, tylko chlewiarkom jest ciężko, bo muszą i ciąć zielonkę na sieczkarni, i nosić ją w workach do chlewni.

W czym widzę wyniki siedmiu odbytych porad?

1. Cherlactwo z chlewni zostało usunięte. Wszystkie świnie wyrosły i straciliśmy tylko trzy najgorsze sztuki.

2. Plan odstawy mięsa za pierwsze półrocze został przekroczony, odstawiliśmy 34 kwintale, a do końca roku pozostało

nam tylko 19 kwintali. Plan roczny może być wykonany z nadwyżką, bo na tucz jesienny chlewnia ma przygotowanych 27 warchlaków, z których najmłodsze dochodzą roku.

3. Do chlewni wprowadzona została nowa krew przez kupno 7 loszek remontowych i knura. Te loszki są już obecnie wysokoprosnymi maciorami i staną się podstawą dalszej hodowli.

4. Po odstawieniu 25 tuczników w końcu bieżącego roku, w chlewni pozostanie 9 prośnych macior, około 100 warchlaków w wieku 3—6 miesięcy i jeden knur. Całe pogłowie, oprócz dwóch macior, będzie zupełnie nowe i wejdzie w 1955 rok jako dorobek roku 1954.

5. Ze sprzedaży warchlaków i prosiąt na wolnym rynku spółdzielnia zyskała już blisko 10 000 złotych.

6. Samokształcenie w brygadzie przyspieszyło remont budynku dla chlewni, który spółdzielnia przeprowadziła systemem gospodarczym, bez uciekania się do kredytów państwowych.

7. Brygada chlewni spowodowała założenie na jednym hektarze lucernika, który przyczyni się do zabezpieczenia bazy paszowej dla chlewni na następne lata.

8. Członkowie brygady stali się bardziej aktywnymi członkami spółdzielni.



5. PRZEBIEG SAMOKSZTAŁCENIA W BRYGADZIE OBORY

Łebkowskiemu zależało na tym, żeby obora przez niego prowadzona stała dobrze. Wyrwał, jako członek zarządu, interesował się oborą, bo czuł się odpowiedzialnym za całość gospodarki spółdzielczej. Dąbrowski, który przez kilka lat był w Niemczech „szwajcarem“ i miał w tej dziedzinie trochę doświadczenia, chciał się swoimi wiadomościami podzielić i dowiedzieć się czegoś nowego.

Zespół był dobry, a mimo to już pierwsza narada z trudem doszła do skutku. Łebkowski przyszedł o wyznaczonej godzinie, bo wracał z obory i było mu po drodze, ale Wyrwały i Dąbrowskiego nie było — jeden zapomniał, a drugiemu się zdawało, że to jeszcze czas. Poza tym w biurze było zimno, bo tego dnia nikt w piecu nie palił. Często bywa, że o drobne przeszkody potykają się nawet duże sprawy. Nie mogłem do tego dopuścić i odwiedziłem zarówno Dąbrowskiego, jak i Wyrwałę. Zebraliśmy się u mnie.

Narady nie rozpoczęliśmy od zagadnienia mleczności, chociaż byłem na to przygotowany. Na pierwsze miejsce wysunęła się sprawa 30 krów zaplanowanych na koniec 1955 roku. Łebkowski chciał, żeby to najpierw wyjaśnić, „bo to się mówi, że mają być, a nie wiadomo skąd“. Zaczęliśmy rozpatrywać tę sprawę.

Krów mamy 13, a ponieważ 2 muszą być wybrakowane, to pozostaje tylko 11. Wysokocielnych jałówek mamy 3. Reszta to jałozki, z których tylko 9 będzie krowami pod koniec 1955 roku.

11 więcej 3, więcej 9 równa się 23, a nie 30.

To prawda, ale za wybrakowane krowy można kupić albo dwie jałówki, albo jedną krowę. Stało na tym, że lepiej będzie kupić 2 jałówki, które będą krowami w roku przyszłym.

23 więcej 2 równa się 25, a nie 30.

Ob. Wyrwał przypomniał sobie, że nie wykorzystaliśmy kredytu na kupno krów i że na koncie pozostało jeszcze 1 400 złotych. Można by za to kupić jałówkę.

25 więcej 1 równa się 26, a nie 30.

Czterech krów brakuje. Skąd je wziąć? Z własnego przychówku nie damy rady.

— Ale członkowie mają przychówek. Możemy u nich zakontraktować albo kupić od razu.

— Z jakich pieniędzy? Z własnych, czy z kredytu?

— Wszystko jedno z jakich, ale kupić trzeba.

Z tymi wnioskami występujemy do zarządu, bo zaplanowana liczba krów sama do obory nie przyjdzie, a do tego czasu nic się u nas w tym kierunku nie zrobiło.

Do narady na temat zwiększenia mleczności krów przygotowałem trzy broszury: M. Kwasięborski, M. Gębka *Jak zwiększyć mleczność krów*, Zootechnika 4 — *Chów bydła*, Zootechnika — *Chów bydła w spółdzielni produkcyjnej*.

We wszystkich tych broszurach jest mowa o krowach rekordzistkach, o przodujących hodowcach, przeciętnej rocznej wydajności uzyskiwanej przez przodujące spółdzielnie produkcyjne i PGR-y, toteż od tych spraw zacząłem. Odczytałem odpowiednie urywki i na ten temat rozpoczęliśmy rozmowę.

Krowy rekordzistki dla członków brygady nie były czymś nowym, słyszeli o dobrych dójkach i spotykali je, podawali nawet miejscowości, gdzie to było i ile te krowy dawały mleka. Ale roczna przeciętna wydajność uzyskiwana przez niektóre spółdzielnie zastanowiła ich. W spółdzielni produkcyjnej Sady uzyskano od krowy przeszło 4000 litrów, a u nas 1200 litrów. Jak to jest w innych spółdzielniach?

Przytoczyłem im dane z których wynika, że przeciętna wydajność od krowy w spółdzielniach produkcyjnych w skali krajowej wynosi prawie 2000 litrów.

— To my jesteśmy gdzieś na samym dole?

— Z tych porównań tak wynika.

— Ale ten nasz dół na pewno nie jest jednakowy. Przecież i my w swojej oborze mamy rekordzistki, takie na naszą miarę i od nich musimy zaczynać.

Żaden z członków brygady nie wiedział, która krowa w naszej oborze jest najlepsza. Nawet Łebkowski oceniał mleczność krów na oko. Nie umiał powiedzieć, ile która daje dziennie, a tym bardziej ile daje w okresie rocznym.

Doszliśmy do wniosku, że jest to źle, bo cała robota w oborze idzie na ślepo. Lepsze dójki powinny być lepiej żywione, a jeśli się ich nie zna daje się wszystkim jednakowo.

Gdzie leży przyczyna tego braku znajomości własnych krów? W częstych zmianach na stanowisku oborowego i w braku odpowiednich przyrządów do pomiaru mleczności. Litrem się tego nie zrobi, bo to i czasu szkoda i mleko się marnuje. Zmianom spróbujemy zapobiec, a gdy idzie o naczynia — wystąpimy z wnioskiem o kupno litromierza.

„Mleczność krowy zależy od pokrycia“ — tak brzmi drugi rozdział broszury Kwasięborskiego. Czytam ten rozdział i dyskutujemy nad nim. Jak ta rzecz u nas wygląda?

U nas większość krów cieli się na wiosnę. Planować zmiany w terminach wycieleń, to długa historia, to na przyszłe lata. Zresztą przy takiej paszy, jaką krowy dostają, to może i lepiej, że cielią się na lato, bo inaczej podczas zimy zgubiłyby mleko i na wiosnę go nie odzyskały. Takiego zdania byli członkowie brygady. Trudno mi było z tym dyskutować, bo w książkach nic na ten temat nie mogłem znaleźć.

Przeszliśmy do następnego rozdziału — „Jak żywić i pielęgnować krowę cielną“.

Spomiędzy wszystkich wskazówek, jakie w tym rozdziale znaleźliśmy, największe zainteresowanie wzbudziło to, że krowę trzeba zasuszać na dwa miesiące przed ocieleniem, chociażby nawet dawała dużo mleka. To było nowe. Jedyne Dąbrowski tryumfował, że on o tym wiedział, bo zasuszał krowy, gdy był „szwajcarem“. Ale jak krowę zasuszać, jeżeli się nie wie, kiedy się ona ocieli — zapytał Łebkowski. — Przecież ja tylko po wyglądzie poznaję, która jest bliżej, a która dalej wycielenia.

Nikt u nas żadnych zapisków nie prowadził i ja wiem tylko to, co przy mnie się działo.

— To znaczy, że my o swoich krowach nic nie wiemy i trzeba coś zrobić, żeby o nich wiedzieć więcej.

Postanowiliśmy wystąpić z wnioskiem o zrobienie tabliczek, żeby o każdej krowie można było zapisać wszystko co trzeba i żeby przy zmianie oborowego te rzeczy nie ginęły.

Na drugi dzień wnioski brygady przekazałem przewodniczącemu. Powiedział, że on to wszystko od dawna ma na uwadze i dziwił się, że „jednakowo myślimy“.

— Wyjeliście mi to z ust, kierowniku.

— To nie ja, to cały kolektyw.

Machnął ręką, jakby tamto nie było dla niego ważne i przeszedł do „wspólnego myślenia“.

— Krowy trzeba wybrakować — mówił — bo z nich żadnego pożytku nie ma, ale trzeba to zrobić komisyjnie. Trzeba je sprzedać i kupić za nie dwie jałówki. To będzie pewniejsze niż kupno jednej krowy. Z pozostałości kredytowych także wystarczy na jałówkę, a o reszcie pomyślimy.

Chciałem zapytać go czy wie, jakie wady mają krowy, które typujemy do wybrakowania, ale ugryzłem się w język. Nie podobał mi się jego stosunek do brygad i przy tej okazji mógłbym mu coś przykrego powiedzieć. Gdy chodzi o litromierz, to z góry zaręczał, że nic z tego nie wyjdzie, bo w Stargardzie nawet zwykłej bańki do mleka nie można się doprosić. Na tabliczki dla krów zgodził się od razu.

— W oborze musi być porządek — powiedział. — Ktoś wejdzie, popatrzy i co sobie o nas pomyśli? Nawet tabliczek nie mają. A tak, to zawsze co innego, zawsze to inaczej wygląda.

Zrobienie tabliczek powierzył Baranowi, a ten odłożył na później, aż deski wyschną.

Na następnej naradzie „rozmawiamy“ dalej z Kwasieberskim.

— Chodzi nam o to, jak żywić krowę mleczną, żeby dawała więcej mleka. 3—6 kg dobrego siana, 30—40 kg okopowych, 15—30 kg dobrej kiszonki z roślin motylkowych.

Co my swoim krowom możemy dać? Siana dla krów w ogóle nie ma. Buraków pastewnych jeszcze trochę zostało, ale myśmy ich akurat tyle dawali, ile Kwasięborski każe dawać siana. Gdybyśmy resztę skarmiali według jego wskazówek, to za tydzień buraków nie będzie.

Kiszonkę mamy z liści buraczanych. Jest niestaranie zrobiona i krowy niechętnie ją jedzą, ma w sobie dużo piasku, może i zakiszenie jest złe, bo zapach ma nieszczęólny.

Zaczynamy szukać po magazynach i stodołach jakiejś dodatkowej paszy, która nie została jeszcze wykorzystana.

Są wytloki suszone. Niedużo ich jest, bo zbiór buraków był lichi, ale da się nimi coś nadsztukować. Jest słoma po peluszcze nasiennej. Może lepsza będzie od zwykłej słomy, zawsze to strączkowa. Kwasięborski w jednej z dawek o takiej słomie wspomina.

Są plewy koniczynowe. Nie pomagałem im w szukaniu tych plew, a jednak je odnaleźli. Tłumaczyłem, że są potrzebne dla świń, ale uparli się i część ich zagarnęli.

Więcej niczego dla krów w naszym gospodarstwie nie mogli znaleźć.

„Im więcej urozmaicamy pokarm, tym lepiej“ — doradza Kwasięborski, a za nim Jasięrowski i Lewandowski, których o zdanie pytamy. Myśmy dotychczas tej zasady nie przestrzegali. Dawaliśmy paszę seryjnie — jak owsianka to owsianka, kiedy się wyczerpała szedł inny rodzaj słomy. To samo było z dodatkami. Ob. Łębkowski zgadza się, że to było błędne, bo sam lubi zjeść co innego na obiad, a co innego na kolację, co innego dziś, a co innego jutro. Zastosujemy się do tej wskazówki i zrobimy przeplatankę paszową. Może to wpłynie na zwiększenie udoju.

„Okopowe trzeba dawać w całości“ mówią nam dalej nasi doradcy. To świetnie, bo myśmy myśleli, że trzeba dawać krojone i tylko czasem z lenistwa dawaliśmy całe. Taka wskazówka jest nam na rękę.

„Krowę można rozdoić żywniem premiowanym“ — płynie z książki wskazówka, o której nigdy nie słyśmy.

— Co to jest? Jak się to robi? Zaczęliśmy to premiowanie poznawać i przekonywać się do niego. Perspektywa zwiększenia dziennego udoju od jednej krowy o 5 a nawet o 10 litrów była zanadto nęcąca, abyśmy mogli przejść nad nią do porządku dziennego. Tylko skąd wziąć treściwej paszy na to premiowanie? Żeby zdobyć chociaż dla 5 krów, które się niedawno ociełiły, żeby chociaż na próbę, dla przekonania siebie i innych.

Rozpatrzyliśmy sprawę ze wszystkich stron, wytypowaliśmy dwie krowy, które się niedługo ociełą i postanowiliśmy na nich wypróbować premiowanie.

Pod koniec narady musieliśmy się zająć jeszcze wytłokami, bo ob. Łebkowski zapytał jak je dawać — na sucho czy moczone. Oparliśmy się na własnym przekonaniu, że lepiej dawać moczone. Wynikła jednak sprawa skrzyni, której w oborze nie było i którą należało zrobić.

Przydział wytłoków, słomy strączkowej i plew koniczynowych został załatwiony zaraz następnego dnia. Ze skrzynią poszło trudniej. Miał ją zrobić ob. Baran, zwlekał kilka dni, a przynaglany, wypożyczył koryto używane do parzenia świń po zabiciu i w tym korycie moczyliśmy wytłoki.

O paszę treściwą zabiegaliśmy przez trzy tygodnie. Staraliśmy się o nią przewodniczący i ja w tej sprawie dwa razy byłem w GS. Mieliśmy ją otrzymać, a gdy wysłaliśmy furmankę — powróciła z niczym.

Zastosowaliśmy premiowanie srułą jęczmienną bez wiary w skuteczność tego zabiegu i bez dokładnego badania wyników. Wiedzieliśmy przecież, że sruła jęczmienna nie jest paszą białkową.

Na trzeciej z kolei naradzie, po wystąpieniu ob. Franciszka Dąbrowskiego przeciwko samokształceniu i po utworzeniu brygady systemu trawopolnego, zabraliśmy się do wejrzenia we wszystko, co dotyczy bazy paszowej.

Przyznawaliśmy rację Franciszkowi, że jest źle, ale nie godziliśmy się z jego poglądem na przyczynę tego zła. W jego pojęciu bieda była ściśle związana z uspołecznioną gospodarką,

a dla nas było jasne, że przyczyna braku paszy leży w złym planowaniu gospodarki spółdzielczej, a więc w nas samych. Zaplanujemy lepiej, będzie lepiej.

Planowanie pasz było dla mnie tak samo nowe, jak i dla członków brygady. W książkach poświęconych hodowli znajdowaliśmyienne dawki, jakieś jednostki owsiane, zamienniki, dodatki na wzrost i na utrzymanie zwierzęcia przy życiu itp. Zaplanowanie paszy w oparciu o takie normy wymagało studiów i mozolnych obliczeń. Na to nie było stać ani mnie, ani ich. Poza tym sprawa wymagała pośpiechu. Chcieliśmy zrobić co można, aby w planie upraw wiosennych uwzględnić potrzeby zwierząt gospodarczych zarówno spółdzielczych, jak i członkowskich.

Z kłopotu wybawiła nas broszura pt. Zootechnika 2 — *Baza paszowa*, którą w ostatnich dniach otrzymałem w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej.

Postanowiliśmy gruntownie przestudiować cały rozdział tej broszury mówiący o zasadach obliczania i produkcji pasz. Znaleźliśmy w nim wszystko, co nam było potrzebne.

Szczególnie cenny dla naszej pracy był podany w tym rozdziale przykład planowania paszy spółdzielni produkcyjnej w Roszkowie. Za podstawę do obliczeń wzięliśmy mleczność naszych krów, ich liczbę i wydajność naszej ziemi, ale zasady stosowaliśmy te same.

Zaplanowaliśmy paszę nie na dzisiejszą przeciętną wydajność 1200 litrów od krowy, lecz na 2500 litrów, bo chodzi o wyprodukowanie w przyszłym roku nie 25 000, lecz 40 000 litrów, aby i plan wykonać z nadwyżką, i pokryć własne zapotrzebowanie na pełne mleko.

Na opracowaniu preliminarza paszy dla obory nie mogliśmy poprzestać, bo oprócz krów spółdzielczych są jeszcze krowy należące do członków, jest jeszcze stajnia i jest trzoda zarówno spółdzielcza, jak i członkowska. Postanowiliśmy zrobić próbę zaplanowania paszy dla wszystkich zwierząt na następnej naradzie.

Przebieg czwartej narady z brygadą obory był podobny do narady trzeciej. W dalszym ciągu opieraliśmy się na Zootechnice 2 — *Baza paszowa*. Czerpaliśmy stamtąd normy, dostosowaliśmy je do naszych warunków i robiliśmy obliczenia. Była to w dużym stopniu lekcja rachunków — dzielenia, mnożenia, dodawania, szukania średnich, zamiany w jednostki wyższego rzędu, ustalania czym jest korzec, kwintal, metr i cetnar, zamiany kwintali pasz w hektary upraw przy danej wydajności itp. itp. Podstawową jednak rzeczą było myślenie gospodarcze, tego się głównie nauczyliśmy przy obliczaniu zapotrzebowania paszy i przy planowaniu jej produkcji.

Ciekawi byliśmy jak wypadnie porównanie zapotrzebowania z tym co zostało przewidziane w uprawach polowych na bieżący rok i gotowi byliśmy siedzieć do rana, byle tylko mieć ten końcowy wynik. Musieliśmy więc dodatkowo przeanalizować plan gospodarczy, żeby móc go porównać z opracowanym przez nas preliminarzem. A wynik nie był wesoły.

Zielonek potrzeba 5195 kwintali, a z przewidzianych upraw i pastwisk możemy mieć 2810 kwintali, to znaczy, że brakuje nam 2385 kwintali.

Siana potrzeba 1046 kwintali, a przy dobrym zbiorze możemy mieć 1100 kwintali, to znaczy, że w sianie zapowiada się lekka nadwyżka.

Kiszzonek musimy mieć 2253 kwintali, a z liści buraczanych i cykorii możemy mieć tylko 994 kwintale, to znaczy, że brakuje nam będzie 1309 kwintali. Buraków, brukwi lub marchwi potrzeba nam 2755 kwintali, a w uprawach przewidziano tylko 600 kwintali. Tu brakować będzie 2155 kwintali.

Jęczmienia potrzeba 109 kwintali i przy dobrym urodzaju możemy mieć pełne pokrycie. W owsie mamy nadwyżkę sięgającą 200 kwintali, bo na 220 potrzebnych przewidujemy zbiór 405. Sytuacja wyglądać będzie o wiele gorzej, gdy dołączymy zapotrzebowanie chlewni.

Wnioski narzucały się same: trzeba w planie upraw wiosennych przeprowadzić korektę na rzecz okopowych i zielonek

kosztem owsa, postarać się o nasiona na międzyplony i myśleć poważnie o poplonach.

Po szerokiej dyskusji uznaliśmy za konieczne:

- 1) przyspieszyć włączenie „Działki Nr 11“ do obszaru spółdzielni, bo na niej znajduje się 10-hektarowe pastwisko,
- 2) obsiać seradelą pięć hektarów,
- 3) podjąć uprawę końskiego zębu na 60-arowym kawałku,
- 4) założyć lucernik na 1 hektarze ze względu na cielęta i na chlewnię,
- 5) wsiać peluszkę na 2 hektarach,
- 6) zrobić poważniejszą próbę użycia rzepy jako poplonu.

Wnioski te przedłożyliśmy walnemu zgromadzeniu, które specjalnie w tej sprawie zostało zwołane.

Sprawa „Działki Nr 11“ ruszyła z martwego punktu, ale jej przydzielenie nie nastąpi wcześniej jak w przyszłym roku. Nasion seradeli kupiliśmy w GS 2 kwintale, bo były na składzie, ale gdyśmy na drugi dzień pojechali, żeby je odebrać, dowiedzieliśmy się, że po kumotersku wydał ją magazynier innej spółdzielni. Kwintal końskiego zębu zarezerwowaliśmy dla siebie we wszystkich rozdzielnikach w powiecie i w gminie, i mimo że był — nie mogliśmy go otrzymać. Lucernik założyliśmy, peluszkę wsialiśmy. Jak będzie z rzepą — nie wiem.

Nasze zainteresowanie oborą, odwiedziny, pytania o dzienny udój, o wykonanie miesięcznego planu i o skuteczność takich czy innych zabiegów, nasze narady, sięganie do książek, dyskusje i starania o to, żeby było lepiej — zmuszały ob. Łebkowskiego do dodatkowej pracy i do robienia tego, czego dawniej nie robił. Krowy zaczęły inaczej wyglądać, zaczęły być czystsze, były starannie obsługiwane i lepiej dojrane. Odczuły i lekką zmianę w paszy, i lekką zmianę w obejściu, toteż zareagowały na to zwykłą udoju (dzienny udój podniósł się z 52 do 63 litrów). Tak było przed ocieleniem się krów, które typowaliśmy do premiowania. Dalszej poprawy w karmieniu nie mogliśmy stosować i coraz częściej wspominaliśmy o poprawie w pielęgnacji, o masowaniu wymion, o dodawaniu, o indywidualnym

podejściu, czyszczeniu szczotką itp. Szliśmy w jednym kierunku, bo w drugim, tzn. w poprawieniu karmienia — mieliśmy drogę zamkniętą.

Ob. Łebkowski rozumiał potrzebę tych wszystkich zabiegów, ale nie mógł sobie z nimi poradzić, za dużo miał roboty. Godziliśmy się z nim, uważaliśmy, że powinien otrzymać pomoc, ale nie wiedzieliśmy, jak to uzasadnić.

Sprawa ta stała się tematem piątej narady i tu została wyjaśniona. Sięgnęliśmy do książki pt. Zootechnika — *Chów bydła w spółdzielni produkcyjnej*. Znaleźliśmy w niej rozdział poświęcony normom pracy i obliczaniu dniówki obrachunkowej. Rozdział króciutki, bo zawierający zaledwie cztery strony, ale w nim znaleźliśmy wszystko, co nam było potrzebne, znaleźliśmy konkretny przykład obliczania roboczodniówek w RZS „Dobra Wola“ w Lusówku.

Na podstawie tego przykładu obliczyliśmy, ile dniówek obrachunkowych w ciągu roku otrzymałby ob. Łebkowski za swoją pracę przy zastosowaniu tak zwanych „norm statutowych“. Okazało się, że 940. W sztywnych roboczodniówkach wypadnie mu 820.

Sprawdziliśmy, ile roboczodniówek wypada w Lusówku na obsługę jednej sztuki i okazało się, że 32,6, a u nas według norm obsługa jednej sztuki kalkulowałaby się na 33,5 roboczodniówki.

Obora w Lusówku liczy 133 sztuki, a nasza 28. Przy większej ilości sztuk praca może kalkulować się taniej i dlatego obliczenie swoje uznaliśmy za prawidłowe. Oborowy w Lusówku, który przekroczył plan produkcyjny i doprowadził przeciętną wydajność do 3837 litrów, otrzymał za swoją pracę 765 roboczodniówek, a nasz oborowy przy takim załamaniu planu produkcyjnego i przy tak niskiej wydajności otrzymuje w sztywnych roboczodniówkach 820, a przy zastosowaniu norm otrzymałby 940 roboczodniówek.

W Lusówku dniówka obrachunkowa wyniosła 27 zł, a u nas po wliczeniu zboża i ziemniaków 9 zł. Tamten oborowy zarobił 20 500 zł, a nasz 7400 zł. Z tych wszystkich danych wyciągnęliśmy wnioski, że do pomocy ob. Łebkowskiemu należy przy-

dzielić drugiego pracownika, a pracę w oborze oprzeć na normach. Wniosek ten nie został jeszcze zrealizowany, bo obawa przed normami w hodowli jest bardzo duża.

Z rozmaitych przyczyn narady w kilka czwartków nie mogły się odbyć. W jeden — spółdzielnia podpisywała umowę z POM, w drugi — u Łebkowskiego wypadły chrzciny, trzeci — był przedświąteczny, w czwarty — ktoś obchodził imieniny, w piąty — wykonano wniosek brygady o kupnie jałówek i członkowie brygady musieli to opić. W ciągu lutego, marca i kwietnia przeprowadziliśmy tylko pięć narad i dwukrotnie stawialiśmy sprawę obory na walnym zgromadzeniu.

Wszyscy wiedzieli, że bijemy się o wykonanie planu i że to się nam udaje, bo plany miesięczne szły dobrze. Kończył się kwiecień, orka i siew stanęły na głównym miejscu.

— Zabiegi hodowlane weźmie teraz na siebie łąka — zawyrokował ob. Wyrwał — my do tej rzeczy przejdziemy jesienią, po zbiorach, jak będziemy mieli więcej czasu. Znaczyło to, że jeden z członków brygady ubywa.

W kilka dni po tej rozmowie przyszła sprawa wypędzenia krów na pastwisko. Walne zgromadzenie szukało wyjścia, bo nikt nie chciał paść. Potrzeba było dwóch pastuchów. Słabsi uważali to dla siebie za dyshonor, a silniejsi nie mogli swoich kandydatów wysuwać, bo kto będzie pracował w polu. Sześć bitych godzin przeszło na wzajemnych przekonywaniach się i rozwiązania nie było widać. Wyjście znalazł ob. Dąbrowski, członek brygady. Zaproponował siebie jako oborowego, a swoją żonę i córkę jako pastuchów. Na tym stanęło i ob. Łebkowski z obory musiał ustąpić. Czuł się dotknięty — i w ten sposób ubył drugi członek brygady. Pozostał tylko Dąbrowski.

Na maj w planie wypadło 3000 litrów. Prawie dwa razy więcej niż w kwietniu. Trawa była niezła i można było plan wykonać. Teraz wszystko zależało od dojenia. Dąbrowski umiał doić i chciał pokazać co potrafi. Chodziło tylko o to, żeby ta chęć nie była słomianym ogniem.

Bywałem u niego codziennie. Wydajność rosła. Po dziesięciu dniach zwiększyła się dwukrotnie. Odstawa dzienna zaczęła

przekraczać 100 litrów. Dąbrowski „rósł“ i ciągnął krowy, jak tylko mógł. Wiedział, że plan wykona.

W miesiącu maju miałem z nim trzy narady. Jedna z nich dotyczyła wszawicy, która opanowała cielęta i Dąbrowski nie wiedział, jak sobie z tym poradzić. Zwracał się kilkakrotnie o jakieś lekarstwo do przewodniczącego, ale ten zbywał go obietnicami.

Sięgnęliśmy po radę do książek. Przejrzeliśmy kilka, ale nie znaleźliśmy nic. Poradnik weterynaryjny mówi o mazi przeciwcwko wszawicy. Składników jej nie udało nam się zdobyć.

Sięgnęliśmy po „Azotox“ zalecany do tępienia gza i na torebce znaleźliśmy wskazówkę, że jest on doskonałym środkiem przeciwcwko wszawicy. Użyliśmy „Azotoxu“ i pomógł.

Druga narada z ob. Dąbrowskim dotyczyła biegunki, na którą zapadło cielętko w kilka dni po urodzeniu. Dąbrowski zapewniał mnie, że to nic strasznego, bo cielęta często na biegunkę chorują i „same z tej choroby wyłażą“. Cielętko jednak z dnia na dzień robiło się słabsze i nawet wstawać nie mogło. Cały zad miało mokry i Dąbrowski podnosił je do picia. Rozmawiałem z przewodniczącym, żeby wezwał felczera weterynarii z Chociwela — uważał, że to jest nieosiągalne. Radziłem się kilku poważniejszych członków jak taką chorobę leczyć — nic mi doradzić nie mogli. Szukałem w książkach jakiejś wskazówki, która mogłaby uratować cieliczkę, ale każda książka odsyłała mnie do weterynarza. Byłbym zupełnie bezradny z całym zapasem moich książek, gdyby nie broszura *Chów cieląt i jałowizny* B. Borowika, którą przesłał mi kierownik powiatowej biblioteki ze Stargardu. Znalazłem w niej lekarstwo na biegunkę — „olej rycynowy zmieszany z odwarem rumianku i na drugi dzień białko z dwóch jaj rozbite w szklance mleka“.

Teraz już mogłem zaprosić Dąbrowskiego na naradę, nie tylko, aby omówić sam zabieg, ale również, żeby wyjaśnić przyczynę tej choroby w oparciu o broszurę K. Jedlińskiego *Zapobieganie chorobom bydła*.

— Jest lekarstwo na biegunkę — rzekłem, gdy ob. Dąbrowski zjawił się u mnie.

— Jakie?

— Czytajcie!

— Toż to całkiem proste i od jutra możemy rozpocząć leczenie.

Po olej rycynowy wyślę żonę do Stargardu.

— Tylko, że choroba jest już przedawniona i w takim wypadku Borowik nie ręczy za skutek.

— Czasu nie cofniemy, a leczyć trzeba.

— Trzeba, trzeba i to jak najszybciej, bo cała ta choroba jest z waszej winy.

— ?

— To nie ja tak mówię, tylko Jedliński, a on jest doktorem i na tych sprawach się zna.

— A co on mi zarzuca?

— On zarzuca wam wiele rzeczy, ale najpierw to, żeście pępownicy cielęcia zaraz po urodzeniu nie zanurzyli w roztworze lizolu.

— Żartujecie, kierowniku! A co ma pępek wspólnego z biegunką?

Tu zaczęliśmy czytać wszystkie wyjątki z różnych książek, jakie w tym celu przygotowałem i dowiedzieliśmy się, że są drobnoustroje, które przedostają się do żołądka cielęcia przez pępownik po jej przerwaniu i po upływie dwóch — trzech dni powodują biegunkę. Sprawa higieny przy porodzie nabrała znaczenia, a tej higieny w naszej oborze nie było.

— Tu fachowcy mają rację, bo rzeczywiście żadnych środków odkażających nie używałem. Po prostu nie było u nas takiego zwyczaju. Co więcej złego dopatrzyli się ci fachowcy w mojej robocie?

— Mówią, żeście nie poili cielęcia siarą od jego matki, tylko dawaliście mu mleko od innych krów.

— A jakże inaczej? Przecież siara jest za tłusta dla takiego cielaka, który jest zupełnie na czczo, bo od urodzenia nic w gębie nie miał.

— W tym właśnie cała rzecz, że się mylicie i fachowcy uważają, że ten wasz błąd spowodował biegunkę.

Tu przeczytałem wszystko, co o białej biegunce u cieląt pisze Jedliński i co o postępowaniu z noworodkiem pisze Jesiorowski. W obydwu wypowiedziach karmienie siarą wystąpiło jako zasada, od której odstępować nie wolno, jeśli chce się mieć cielęta zdrowe, i ob. Dąbrowski zrozumiał swój błąd. Wstyd mu trochę było, że jako były „szwajcar“ nie wiedział o takich ważnych sprawach, ale pocieszył się wiadomością, że i dla mnie te rzeczy były całkiem nowe.

Cieliczkę wyleczyliśmy z biegunki, ale po kilkunastu dniach napuchł jej pyszczek. Nie wiemy czy istniał związek między biegunką a jej leczeniem i napuchnięciem pyszczka.

Dąbrowski przy rozdajaniu krów miał niezłe wyniki, ale ładu w oborze nie zaprowadził. Oceniał krowy tak, jak przed nim robił to Łebkowski, a przed Łebkowskim inni — według wyglądu, według dotyku i według spojrzenia w wiadro z mlekiem, a nie według miary i czasu. Próbowałem pokazać mu oborę spółdzielczą w perspektywie planu rozwojowego, od tego co jest dziś, do tego co będzie za dziesięć czy piętnaście lat. W rozmowach przypominałem, że osiągnięcie większej mleczności krów wymaga konsekwentnych zabiegów na przestrzeni dłuższego czasu i że do tych zabiegów potrzebne są dane o krowach.

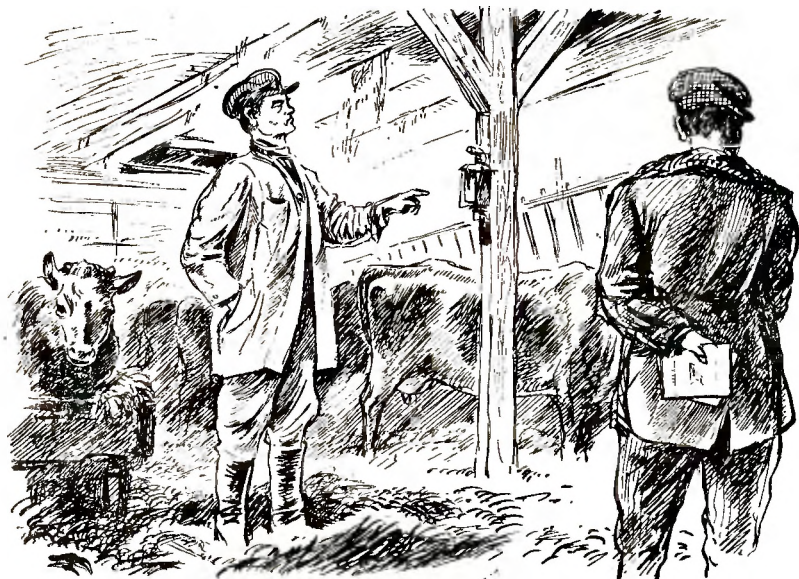
— Wasze krowy ani się nie nazywają, ani nie mają metryk — mówiłem — nie wiecie, która krowa kiedy się ocieliła i kiedy została pokryta, ile dawała mleka i ile daje, nie wiecie, która krowa od której pochodzi, nie wiecie czy wasz buhaj poprawia wam rasę i nie będziecie mogli prawidłowo dobierać sztuk hodowlanych, gdy obora wypełni się wam ogonami i jakość krowy zacznie odgrywać decydującą rolę.

Dąbrowski to rozumiał, ale do porządkowania danych nie chciało mu się zabrać. Wiedział, że w oborze będzie tylko do jesieni i nie czuł potrzeby robienia notatek. Na codzienny użytek jego zdaniem wystarczyło mu doświadczenie, które posiadał.

— Ja znam się na krowach — mówił — i ze spojrzenia ocenię ile która warta. Od tej np. Łebkowski doił trzy litry, a ja mówiłem, że ona może dać więcej i teraz ciągnę osiem. Tamta znowu co przy ścianie, diabła warta, trzeba ją wybrakować i oddać na spęd, bo zamiast więcej, daje mleka coraz mniej.

— A czy ona nie jest cielna?

— Skądżeby, przecież po niej nic nie widać.



— Trzeba mieć oko, kierowniku

— To dziwne, bo krowa młoda i nie wygląda na złą.

— Trzeba mieć oko, kierowniku.

Po siedmiu dniach krowa ta ocieliła się na łące bez niczyjej pomocy, a Dąbrowski dowiedział się o tym, gdy cielątko stało już na nogach. Cielątko było malutkie, ale krowa nie była temu winna, bo dawała mleko do ostatniego dnia.

Ten wypadek przekonał Dąbrowskiego, że ocenianie krów na oko do niczego nie doprowadzi.

Aby drobiazgom nadać sens i ugruntować zasadnicze pojęcia dotyczące racjonalnej hodowli zaproponowałem wspólne przestudiowanie książki Sztejmana *Jak utworzono rekordowe karawajewskie stado*. Zgodził się na to i dwa wieczory tej sprawie poświęciliśmy.

W pierwszy wieczór zdążyliśmy obejrzeć ilustracje, odczytać napisy i podzielić się uwagami. W drugi wieczór przeczytaliśmy i przedyskutowaliśmy dwa rozdziały — o pierwotnym materiale stada i o selekcji krów.

Zaczęliśmy chwycać podstawowe założenia, na których oparto wytworzenie kostromskiej rasy bydła, ale studiowanie historii karawajewskiego stada musieliśmy przerwać i przejść do bieżących spraw naszej obory, bo sytuacja tego wymagała.

Był to już koniec maja, trawy przyschły i mleka zaczęło ubywać. Mleko z południowego udoju nie wytrzymało do rana, zaczęło kwaśnieć i zamiast do mleczarni szło do chlewni.

Powiatowy Zakład Mleczarski zawiadomił nas, że z powodu obniżenia procentu tłuszczu za miesiąc kwiecień zaliczonych mamy tylko 1534 litry, chociaż odstawiliśmy ich 1660. To wszystko łamało nasz plan. Cały nasz wysiłek szedł na marne i tracił sens. Należało szukać rady i to jak najszybciej.

Postanowiliśmy prosić zarząd o przydział zielonki na dokarmianie krów w oborze. Zrobiliśmy to bez pomocy książek, bo wniosek narzucał się sam. Sprawdziliśmy tylko, czy mieszanka wyki ozimej z żytem jest w stanie możliwym do cięcia.

W sprawie kwaśnienia mleka sięgnęliśmy po radę do broszury M. Kwasięborskiego i M. Gębki *Jak zwiększyć mleczność krów*. Z tej broszury dowiedzieliśmy się, że pierwszym zabiegiem jest dokładne i możliwie najszybsze cedzenie mleka przez dobre sito lub dobry sączek. Sita w naszej oborze w ogóle nie było, a kawałek płótna lnianego, który służył jako sączek, zabrał ze sobą Łebkowski dowodząc, że to jego własny. Używana przez Dąbrowskiego szmatka nie była dobrym sączkiem.

Zabiegiem drugim okazało się chłodzenie mleka i tego chłodzenia nikt u nas nie robił z tej prostej przyczyny, że nie było w czym chłodzić.

Zabiegiem trzecim okazała się czystość zarówno baniek, jak i szmatki do cedzenia. Potrzebna tu była i gorąca woda, i miękka szczotka, i mydło, a takich rzeczy w naszej oborze nikt nigdy nie widział. Autorzy broszury zapewniali nas, że „w należycie wymytych i odkażonych konwiach precedzone i ochłó-



dzone mleko może być przechowywane dwa, albo trzy razy dłużej, niż w konwiach mytych tylko zimną wodą“.

Postanowiliśmy zrobić wszystko, aby nasze mleko i nasze konwie w takim stanie utrzymać. Zwróciliśmy się do zarządu z prośbą o sito do cedzenia albo o dobry kawałek płótna. Sita nie otrzymaliśmy, ale kawałek płótna Dąbrowski skądś wyszperał.

Poprosiliśmy o cementowy zbiornik do chłodnej wody, w której można by stawiać bańki z mlekiem — zbiornik został zrobiony. Poprosiliśmy o szczotkę i mydło, ale tu spotkaliśmy się z odmową.

Wodę gorącą Dąbrowski mógł przygotować w parniku znajdującym się w chlewni, ale to wymagało dodatkowej pracy i zrezygnował z odkażania baniek.

Zabiegi swoje ograniczyliśmy do lepszego cedzenia, staranniejszego mycia baniek i trzymania mleka w chłodnej wodzie. Nie było to wszystko co w danym wypadku należało zrobić, ale pożądaný wynik osiągnęliśmy — mleko przestało kwaśnieć i mogliśmy odstawiać je do mleczarni.

Sprawę procentu tłuszczu postanowiliśmy przenieść na naradę z udziałem członków Komitetu Dostawców Mleka, bo sami w tym zakresie nic zrobić nie mogliśmy. Wynikiem narady z Komitetem Dostawców były następujące stwierdzenia i wnioski:

- 1) kierowniczką mleczarni w Dzwonowie od dwóch lat jest ob. Gąbkowa, która żadnej kontroli społecznej nad sobą nie uznaje,
- 2) Komitet Dostawców nie zna swoich uprawnień i czynności kontrolnych nie spełnia,
- 3) do m-ca marca ob. Gąbkowa robiła we własnym zakresie badania nad zawartością tłuszczu, ale od kwietnia przekazała tę czynność laborantkom Powiatowego Zakładu Mleczarskiego w Stargardzie,
- 4) nikt nie widzi, żeby ob. Gąbkowa nosiła do mleczarni swoje mleko, ale każdy widzi, że codziennie zabiera dwa wiadra odciąganego mleka,
- 5) o przyjmowaniu mleka dwa razy dziennie ob. Gąbkowa nie chce słyszeć i nie chce badać mleka na procent tłuszczu na miejscu,
- 6) Powiatowy Zakład Mleczarski nie reaguje na skargi, a Komitet Dostawców jest bezradny.

Po tych stwierdzeniach odczytałem zebrany ostatni rozdział broszury M. Kwasieberskiego i M. Gębki traktujący o zadaniach Komitetu Dostawców Mleka i punkt po punkcie te zadania omówiłem. Jeden egzemplarz tej broszury oddałem do dyspo-

zycji członkom Komitetu, aby w rozmowach z kierowniczką mleczarni i w rozmowach z dyrekcją P. Z. Mlecz. mogli się na nią powołać.

Za trzy dni odbyło się badanie mleka na procent tłuszczu w obecności przedstawiciela Komitetu Dostawców, który w tej sprawie pojechał do Stargardu. Mleko spółdzielcze wykazało 3,3% tłuszczu, tzn. tyle, ile przewiduje norma, a mleko pochodzące od krowy ob. Gąbkowej wykazało więcej niż 7%. Badanie przeprowadzono dwukrotnie i za każdym razem wychodziło to samo. Takiego procentu tłuszczu nie osiągnęła żadna rekordzistka światowa.

Komitet Dostawców rozpoczął pomału wykonywanie swoich czynności i badanie mleka na zawartość tłuszczu przeprowadza się obecnie na miejscu.

Więcej narad z brygadą obory nie prowadziłem, bo przygotowywałem się do wyjazdu z Dzwonowa.

Wyniki tych dziesięciu narad oceniam jak następuje:

1. W pierwszym półroczu odstawiliśmy 11 000 litrów mleka to znaczy, że do wykonania planu zabrakło nam 1500 litrów. W porównaniu z rokiem ubiegłym jest to jednak poważny krok naprzód, bo produkcja mleka wzrosła niemal dwukrotnie.
2. Członkowie brygady nauczyli się planować bazę paszową dla zwierząt gospodarskich i w dużym stopniu przyczynili się do jej zabezpieczenia na rok przyszły.



6. PRZEBIEG SAMOKSZTAŁCENIA W BRYGADZIE SADOWNICZEJ

Przed pierwszą naradą zwiedziłem sad. Chciałem zobaczyć jakie to są drzewka, jaki dla nich wybrano teren, jak je posadzono i jak zabezpieczono na zimę.

W oględzinach towarzyszył mi przewodniczący i jako gospodarz informował o wszystkim, co było mu znane. Wiedział



Na każdym kroku stwierdzałem, że drzewka sadzone były w pośpiechu

niedużo o swoim sadzie, ale ważne dla mnie było również to, czego nie wiedział, bo przy pomocy książek miałem ten brak wiedzy usunąć. Patrzyłem zresztą na sad własnymi oczyma i mogłem widzieć to, czego mi przewodniczący nie mówił. Na każdym kroku stwierdzałem, że drzewka sadzone były w pośpiechu, że dołki zasypywano biorąc ziemię sztychem obok

drzewek i robiąc nowe dołki, że paliki cięto na świeżo z wierzby i olszyny, że drzewek nie przymocowano do palików, że słomę mającą zabezpieczyć drzewka przed mrozem podwiązano tylko w górnej części, że zrobiono robotę tak, aby ją tylko zbyć, aby się nazywało, że drzewka zostały posadzone.

Zapytałem przewodniczącego, jakie to są odmiany — nie wiedział. Nazwy odmian nie znał również księgowy i to postawiło mnie w kropce, bo bez nazw odbywać będziemy wędrowkę po książkach na ślepo, będziemy zbierać wiadomości o pielęgnacji jabłoni w ogóle, a nie o pielęgnacji jabłoni znajdujących się w naszym sadzie.

Nie chciałem się z tym pogodzić, szukałem wyjścia i znalazłem skrótów nazw w rachunkach za drzewka, z nich mogliśmy dojść do pełnych nazw i do poznania natury drzewek. Teraz potrzebna już była tylko odpowiednia książka. Taką książkę miałem — była nią *Pomologia polska*. Przed pójściem na naradę przestudiowałem dokładnie rozdział pt. „Jabłonie“, przejrzałem kilkadziesiąt stron książki Goriaczkowskiego *Sad*. Na wszelki wypadek wziąłem ze sobą *Doświadczenia sadownicze* z Biblioteczki Doświadczalnika Miczurinowca i *Ochronę sadów* Kochmana. Liczyłem na obrazki zawarte w tych książkach i miałem żal do wydawców *Pomologii*, że nie wszystkie odmiany podali w barwnych ilustracjach.

Na pierwszą naradę brygada stawiała się w komplecie. Przyszedł także przewodniczący i księgowy. Interesowało ich, jak my dojdziemy do ustalenia pełnych nazw i jakie to są odmiany.

Zaproponowałem znalezienie odpowiedzi na dwa pytania: 1. Jakie odmiany drzewek mamy w naszym sadzie? 2. Czy dobrze je posadziliśmy?

Pokazałem wszystkim *Pomologię polską*, powiedziałem co w tej książce się znajduje, obejrzelśmy ilustracje, przeczytałem nazwy wszystkich odmian jabłoni i zapytałem, które z nich mamy w naszym sadzie.

— Ależ my nie wiemy, jak się nasze odmiany nazywają! — odpowiedzieli chórem.

— To kto ma wiedzieć?

Poprosiłem księgowego o rachunki za drzewka i rozpoczęliśmy ze skrótów dochodzić do pełnych nazw.

— Mal. Ober... to chyba Malinowa Oberlandska, bo innej podobnej nazwy nie ma. P. z Booskop... w *Pomologii* jest Piękna z Booskop, to jasne, że tylko ona być może. Boyk. ... w książce jest jakaś Złota Boikena. Nazywa się także po prostu Boiken, to chyba ta.

Książka wróciła do rąk spółdzielców, bo każdy chciał zobaczyć ilustracje tych odmian. Jako bibliotekarz cieszyłem się, że książka o niezrozumiałej dla rolników nazwie okazała się tak niezbędną przy rozwiązaniu praktycznego zadania. Ilustracje mówiły językiem kształtów i barw, toteż członkowie brygady przypominali sobie, gdzie który podobne jabłka widział i jak się one w języku ludowym nazywają.

Teraz już mogliśmy przejść do omówienia właściwości pomologicznych i do przedyskutowania celowości doboru tych odmian. Zróciliśmy uwagę na to, że drzewka powinny być podwójnie szczepione, bo to uodparnia je bardziej na mrozy. Żaden z nas nie był jednak pewien, czy to podwójne szczepienie potrafi rozróżnić i dlatego postanowiliśmy zapytać właścicieli szkółek, jak jest z tym szczepieniem.

Po krótkiej analizie spostrzeżliśmy, że spółdzielcy popełnili błąd przy rozmieszczaniu drzewek na działce. Okazało się, że drzewka nadchodziły partiami, a więc odmianami i tak były sadzone jak nadchodziły. Wzajemne uzupełnianie się drzewek przy zapyłaniu nie zostało w ogóle wzięte pod uwagę, tak samo nie został wzięty pod uwagę ich wzrost. Ktoś gdzieś planował dobór, ale nie doprowadził rzeczy do końca i nie poinformował spółdzielców, jak mają drzewka posadzić.

To jest jeden z argumentów, który przemawia za koniecznością organizowania brygad samokształceniowych nastawionych na nowe odcinki gospodarcze, na odcinki tworzące perspektywę spółdzielczego jutra. Brygada sadownicza zorganizowana przed posadzeniem drzewek nie dopuściłaby do takiego

błądu, sięgnęłaby do książki fachowej i wiedziałyby, jak drzewka należy posadzić.

Więcej wskazówek z *Pomologii* nie mogliśmy zaczerpnąć i przeszliśmy do książki Goriaczkowskiego. Przeczytałem rozdział traktujący o odległościach między drzewami i dowiedzieliśmy się, że ostatnie doświadczenia potwierdziły słusność praktykowanej od dawna przez chłopów zasady gęstszego sadzenia drzew owocowych. Nasze drzewka zostały posadzone w odległościach 10 m na 10 m, a więc za rzadko i powinniśmy sad zagęścić. Jeśli przyjmiemy doradzaną przez Goriaczkowskiego odległość 10 m na 5 m to na tym samym kawałku ziemi będziemy mogli posadzić drugie tyle drzewek, naprawić popełniony błąd w rozmieszczeniu odmian i zwolnić hektar ziemi zarezerwowanej na rozszerzenie sadu. Takie rozwiązanie sprawy było nam na rękę i dogadzało naszym chłopskim ambicjom, toteż bez większych sporów postanowiliśmy zastosować się do wskazówek Goriaczkowskiego.

Pod koniec narady ob. Parada przypomniał o pszczołach.

— Radzimy — mówił — jak dobrać odmiany i jak je posadzić, aby sobie pomagały wzajem przy zapyłaniu, a zapominamy o tym, że najlepszym pomocnikiem przy zapyłaniu jest pszczoła. Zrobiliśmy początek z sadem, zrobimy również początek z pasieką, bo jedno z drugim powinno iść w parze.

W tym zespole, w jakim byliśmy, można było coś na ten temat zdecydować, toteż zwróciliśmy się do zarządu z wnioskiem o kupno czterech uli i o zapoczątkowanie pasieki spółdzielczej.

W trakcie dyskusji ob. Pawłowski zdradził naukowe zainteresowania — chciał się dowiedzieć dlaczego drzewa owocowe lepszych gatunków tracą zdolność korzystania z własnego pyłku przy zapyłaniu. Proponowałem mu, żeby wziął się do czytania *Dzieł wybranych* I. Miczurina, ale okazało się, że oczy ma bardzo słabe i czytać nie może.

Na drugą naradę przyszliśmy z kilkoma pytaniami. Pierwsze dotyczyło terminu posadzenia dodatkowych stu jabłoni. Zdania były podzielone — jedni uważali, że lepiej wiosną, a drudzy, że jesienią. Zapytaliśmy Goriaczkowskiego o jego

zdanie. Z odczytanego urywku pt. „Czas sadzenia“ zadowoleni byli i jedni, i drudzy, bo Goriaczkowski zależnie od ziemi zalecał i sadzenie wiosną, i sadzenie jesienią. Rozpatrzyliśmy do jakiej ziemi można zaliczyć naszą — do ciężkiej, czy do lekkiej i zgodziliśmy się z tym, że raczej do lekkiej. To przesądziło sprawę na rzecz sadzenia jesiennego.

Pytanie drugie odnosiło się do ogrodzenia sadu. Punktem wyjścia było niebezpieczeństwo jakie już zagrażało drzewkom ze strony bydła i owiec oraz niebezpieczeństwo jakie w przyszłości zagrażać będzie drzewkom i owocom ze strony ludzi, ale przy rozpatrywaniu sprawy kwestia ogrodzenia przekształciła się w zagadnienie produkcyjne.

Doszliśmy bowiem do wniosku, w czym pomógł nam Goriaczkowski, że najlepszym ogrodzeniem będzie żywopłot i to morwowy, na którym oprzeć można hodowlę jedwabników. Obliczyliśmy, że na otoczenie sadu podwójnym rzędem potrzeba będzie 2000 sadzonek. Nie myśleliśmy wtedy o kosztach związanych z założeniem żywopłotu, tylko widzieliśmy w nim masę liści morwowych do przeróbki na jedwab. Księgowy zapewniał nas, że w tym roku Prezydium PRN będzie rozprawać sadzonki morw na bardzo dogodnych warunkach i to nas jeszcze bardziej zachęciło. Postanowiliśmy zamówić 2000 sadzonek i wiosną tego roku otoczyć nimi nasz sad.

W trzecim pytaniu chcieliśmy dowiedzieć się na czym polega pielęgnowanie młodego sadu takiego jak nasz. Goriaczkowski w swoich wskazówkach ujął to dość zwięźle, powiedział nam, że powinniśmy: 1) zabezpieczyć drzewka przed wysychaniem, mrozami i wiatrami, 2) kształtować korony drzewek, 3) walczyć ze szkodnikami i chorobami.

Nad pierwszą grupą zabiegów przeszliśmy jakoś do porządku dziennego. Wydawało się nam, że zabezpieczać drzewka przed mrozami w drugiej połowie lutego jest już za późno, a myśleć o tym, żeby nie wysychały — jeszcze za wcześnie.

Uwagę naszą pochłonęła sprawa formowania koron. Ciąć korony w tym roku czy nie ciąć? Goriaczkowski radzi i tak,

i tak. Nauka mówi, żeby ciąć, a praktycy nie stosują cięcia w pierwszym roku.

Wypowiedzieliśmy się za cięciem, tylko żaden z nas tego robić nie umiał. Postanawiamy nauczyć się tej sztuki i przeprowadzić cięcie w tym roku własnymi siłami.

Zaraz na drugi dzień po naradzie byłem w Wydziale Rolnym Prezydium PRN w Stargardzie, żeby zamówić sadzonki morwy. Rozmawiałem z kierownikiem wydziału i on sobie to wszystko zapisał. Ręczył, że sadzonki będą w porę.

Rozpocząłem również starania o jakiś dobry podręcznik z zakresu jedwabnictwa, bo brygada paliła się do tego zagadnienia.

Trzecią naradę poświęciliśmy formowaniu koron, ale ob. Iskrowa zażądała, żeby najpierw omówić sprawę bielenia drzewek, „bo na wiosnę musimy naszym drzewkom nadać przyzwyczajony wygląd“.

Wszyscy byliśmy przekonani, że bielenie przeprowadza się po to, aby niszczyć szkodniki drzew. Ja nawet informacji na temat bielenia szukałem w *Ochronie sadów* Kochmana, a nie w książce Goriaczkowskiego. Toteż zdziwieni byliśmy, gdy dowiedzieliśmy się o właściwym przeznaczeniu bielenia i o właściwej porze, w jakiej to bielenie powinno być przeprowadzone. Na bielenie naszych drzewek było już za późno, a poza tym słoma chroniła je przed zbyt wczesnym rozbudzeniem komórek.

Wysunięte przez ob. Iskrową bielenie doprowadziło nas do wyjaśnienia przyczyn zgorzeli. Cały rozdział traktujący o przemarzaniu drzew przeczytaliśmy zdanie po zdaniu. Przyrzekliśmy się leczeniu ran zgorzelinowych przy pomocy szczepienia mostowego, sięgnęliśmy do *Doświadczeń sadowniczych* i do *Pogadarek agrobiologicznych* Pieniążka, bo zainteresowało nas samo szczepienie i tak pomalutką odbiegliśmy i od bielenia, i od zgorzeli. Znaleźliśmy się w zupełnie innym świecie i musieliśmy się z niego wycofać, bo głównym tematem narady było formowanie koronek.

Tu pierwszy raz byliśmy z Goriaczkowskiego wyraźnie niezadowoleni. Całą szeroką dziedzinę zamknął na pięciu stroniczkach, podał kilka wskazówek i zilustrował cięcie na dwóch przykładach. Tych przykładów było dla nas stanowczo za mało. Zajrzeliśmy do broszury Wanica *Sadownictwo*, ale tu wśród ogólników mogliśmy pogubić nawet to co wzięliśmy od Goriaczkowskiego.

Istotnym osiągnięciem trzeciej narady było wyjaśnienie celu bielenia i przyczyny zgorzeli. Bez tego wyjaśnienia moglibyśmy wykonać czynność pielęgnacyjną, która naszym drzewkom w ogóle nie była potrzebna. Osiągnięciem ubocznym było rozbudzenie zainteresowania rozmnażaniem wegetatywnym. Celem głównego nie osiągnęliśmy, to znaczy nie nauczyliśmy się formowania koronek, chociaż przyswoiliśmy sobie wszystko co na ten temat napisał Goriaczkowski.

Czwartą naradę poświęciliśmy morwie i jedwabnikom, a jako podstawę wzięliśmy obydwie broszury Golańskiego, bo innych książek nie zdobyłem.

O hodowli jedwabników krąży dużo legend zarówno dobrych, jak i złych, ale wydawnictwa nie starają się o to, żeby złe legendy rozproszyć, a dobrym nadać charakter dokumentu. Planując żywopłot jako ochronę sadu i jako podstawę do hodowli jedwabników, kierowaliśmy się pożytkiem jaki nam ta hodowla przyniesie. Przypuszczaliśmy, że w książkach znajdziemy przykład dobrze prowadzonej hodowli, która będzie dla nas wzorem, ale pod tym względem spotkał nas zawód — nie znaleźliśmy nic, co pozwoliłoby nam zaplanować dochód, jaki z żywopłotu będziemy mieli za kilka lat.

Tyłu ludzi zajmuje się hodowlą jedwabników, tyłu ludziom ta hodowla przynosi pożytek, a my nic o tym nie wiemy — zdani jesteśmy na legendę tak dobrą jak i złą.

Szanowny autorze broszury pt. *Hodowla morwy białej* — nas nic nie obchodzi, że: „Morwa jest rośliną drzewną należącą do gromady roślin dwuliściennych, rzędu pokrzywowych: rodziny morwowatych (Moraceae) oraz rodzaj morwa“ ani to, że: „Do tego samego rzędu (Urticales) należą również rodziny

pokrzywowate, konopiowate i wiązowate“. My wolelibyśmy zobaczyć zdjęcie żywopłotu morwowego w różnych okresach jego rozwoju oraz człowieka, który ten żywopłot założył. Wolelibyśmy dowiedzieć się, ile te sadzonki kosztują, gdzie się je kupuje i jak się to robi. Wskazówki o zakładaniu żywopłotu przydadzą się nam i przestudiowaliśmy je dokładnie, ale wolelibyśmy, żeby o tym mówił do nas ktoś, kto taki żywopłot zakładał własnymi rękami i na własnym gruncie.

Atrakcją tego wieczoru była gablotka z jedwabnikami i pisma od dostawców naszych jabłoni. Gablotka mówiła, że jedwabniki są i robią jedwab, a pisma zapewniały nas, że nasze drzewka są podwójnie szczepione. Zarówno gablotka, jak i pisma wędrowały z rąk do rąk, bo jedno i drugie było czymś ważnym.

Pod koniec każdej narady wylaniały się w tej brygadzie pytania, na które albo z miejsca znajdowałem odpowiedź w książkach, albo doradzałem lekturę. Tym razem nie mogłem zrobić ani jednego, ani drugiego, bo ob. Stelmach zapytał czy jedwabniki w swoich rodzinnych stronach żyją w stanie „dzikim“ i czy Chińczycy chodzą do morwowego lasu na kokony tak samo, jak my chodzimy na laskowe orzechy. Forma pytania była nieco żartobliwa, ale poruszała ciekawe zagadnienie i gotów byłem szukać specjalnej lektury, aby samemu sobie tę sprawę wyjaśnić.

Pod wpływem zainteresowań, które przejawili i ob. Pawłowski, i ob. Iskrowa, piątą naradę poświęciliśmy dorobkowi Miczurina. Do tej narady przygotowywałem się cały tydzień. Po raz trzeci przestudiowałem jego *Dzieła wybrane* i przygotowałem coś w rodzaju konspektu prelekcji w skład której wchodziły wyjątki z *Dzieł* i ilustracje. Chciałem, żeby Miczurin mówił sam za siebie — tym, czego dokonał. Po krótkim zagajeniu przeczytałem wyjątek pt. „60-letnie wyniki i perspektywy moich prac“. Z tych pięciu kartek przemówił do nas żywy człowiek. Dowiedzieliśmy się czego pragnął, jaką obrał drogę, na jakie trudności napotykał, jak je pokonywał, jak konsekwentnie szedł w obranym kierunku i jak doczekał się

wreszcie, że jego starania przyniosły pożytek narodowi. Odczuliśmy wielkość Miczurina w jego dążeniach, w jego dorobku i w jego całkowitym oddaniu się sprawie. Odczuliśmy także wartość ustroju, przy którym te dążenia mogły znaleźć pełny wyraz. Cieszyliśmy się z tego, że ostatnie lata przyniosły mu tyle radości i tyle uznania.

— To on nie był inżynierem? — zapytał ob. Pawłowski, zdziwiony, że nigdzie o tytule naukowym nie było wzmianki.

— Był więcej niż inżynierem, mościewy, i dlatego tytuł nie był mu potrzebny — odpowiedziała za mnie ob. Iskrowa.

— To on tak wszystko ze siebie brał?

— Ze siebie nie ze siebie, ale z doświadczeń, które prowadził. Poza tym nauka nie była mu obca. On znał wszystko, co na temat sadów nauka miała do powiedzenia i poszedł dalej — torował ścieżki dla nauki.

Odkryłem kartki rozdziału „Sposoby ukorzenia sadzonek“. O tych sprawach kilkakrotnie już mówiliśmy, bo spotykane w książkach rysunki prowokowały nas do tego. Ob. Pawłowski zaczął nawet myśleć o jakimś urządzeniu, które pozwoli na rozszerzenie sadu bez kupna nowych drzewek. Toteż widziałem, że ucieszył się bardzo, gdy na obrazku zobaczył rurki, których Miczurin używał do ukorzenia zrazów.

— Nie uwierzycie — mówił — że ja właśnie coś podobnego miałem na myśli.

O ukorzeniu sadzonek musiałem przeczytać wszystko, a w dyskusji wracaliśmy jeszcze do poszczególnych zdań, żeby je lepiej zrozumieć. Ten rozdział zbliżył nas do Miczurina jako badacza przyrody i do samej przyrody, która pozwala roślince wytwarzać korzenie tam, gdzie pozornie jest miejsce tylko na kwiat i na owoc. Przy tej okazji ob. Pawłowski dowiedział się, że nawet szklane rurki nie są potrzebne, bo ukorzenie zrazów jabłoni można przeprowadzać w prostszy sposób.

Potem już szło przeglądanie ilustracji nowych odmian drzew owocowych wytworzonych przez Miczurina. Dłużej zatrzymaliśmy się tylko na trzech barwnych tablicach, bo na nich uwy-

pukłone zostało przekazywanie cech nowej odmianie przez formy rodzicielskie. Czy z tej narady mogliśmy wyciągnąć praktyczne wnioski dotyczące naszego sadu? Na bliską metę nie, ale na dalszą — tak. Nie staraliśmy się jednak o wyciąganie tych wniosków. Wystarczyło nam zbliżenie do tej miary człowieka, jakim był Miczurin i do jego wielkiego dorobku. Przez to zbliżenie poczuliśmy się sami więcej warci.

Głównym tematem szóstej narady była sprawa przeniesienia 50 drzewek na inne miejsce. Zażądał tego przewodniczący ob. Poczeczyński i musieliśmy się do tej sprawy ustosunkować.

Skąd się to wzięło? Dlaczego drzewka posadzone jesienią mamy przenosić na wiosnę?

Ustalamy fakty, które wyjaśniają przyczynę. W ubiegłym roku zarząd spółdzielni poszedł na wyrównanie linii sadu kosztem działek przyzagrodowych, które w tym miejscu wrzynały się klinem w obszar spółdzielczy. Dotknęło to obydwu Domańskich, Nerlicką i Paradę, którzy protestowali przeciwko okrojaniu swoich działek i nie chcieli przyjąć proponowanych kawałków w innym miejscu. Opinia ogółu była jednak za wyrównaniem linii i drzewka zostały posadzone tak, jak zaplanował zarząd.

Poczeczyński chciał być lepszy od swojego poprzednika, poszedł na rękę „pokrzywdzonym“ członkom i przywracał dawny stan rzeczy. Za jednym zamachem zyskiwał sympatię czterech członków i unikał kłopotu z przydzielaniem dodatkowych kawałków ziemi. Nie chcieliśmy prowadzić wojny o linię sadu, ale drzewka musieliśmy ratować. Szukaliśmy wyjaśnień czy takie przesadzanie jest w ogóle możliwe, czy bywa praktykowane i jakie daje wyniki. Przejrzeliśmy i książkę Goriaczkowskiego, i broszurę Wanica, i *Doświadczenia sadownicze*, ale żadnej wzmianki na ten temat nie znaleźliśmy. Dowiedzieliśmy się tylko, że drzewka posadzone jesienią puszczają drobnutki korzonki przed nadejściem zimy, opanowują glebę i są gotowe do wzrostu na wiosnę. Jeśli je przesadzimy, to korzonki te odpadną wraz z ziemią i drzewka będą musiały powtórnie wydobyc z siebie siłę na wzrost tych korzonków. Nie wiemy czy

bez specjalnej pielęgnacji dadzą sobie z tym radę i dlatego po-
dłuższych rozważaniach dochodzimy do wniosku, że drzewek
w tym roku przesadzać nie wolno.

Nie rozwiązuje to jednak sprawy, bo drzewka pozostawione
na działkach mogą przeszkadzać przy obróbce ziemi i jako „nie
swoje“ mogą ulec zniszczeniu.

Jak zabezpieczyć drzewka? Oddać na własność, to inni się
nie zgodzą. Pozostaje tylko zaproponować kupno na dogodnych
warunkach.

Punkt widzenia brygady na wysuniętą przez ob. Poczeczyń-
skiego sprawę przedstawia się jak następuje:

- 1) granica sadu powinna być utrzymana,
- 2) członkowie powinni otrzymać uzupełnienie działek
w innym miejscu,
- 3) drzewek w tym roku przesadzać nie wolno,
- 4) w wypadku zmiany granicy należy zaproponować człon-
kom kupno drzewek,
- 5) za zniszczenie drzewka będącego własnością spółdzielni
należy wyznaczyć karę w wysokości 15 zł.

Ustaliwszy te rzeczy przeszliśmy do omawiania zabiegów
pielęgnacyjnych jakie w najbliższym czasie będziemy musieli
wykonać. Chodziło tu o zdjęcie słomy, o zmianę palików i przy-
wiązanie do nich drzewek, o wyrównanie ziemi przy drzewkach,
o zabezpieczenie drzewek przed wysychaniem i o uprawę ziemi
między rzędami.

W tych sprawach zwróciliśmy się do Goriaczkowskiego
i przeczytaliśmy rozdział pt. „Uprawa gleby w sadzie“. Z tego
rozdziału dowiedzieliśmy się, że kłosowych między rzędami
uprawiać nie można, bo wyciągają zbyt wiele wody i soli mine-
ralnych i że najlepiej rosną młode drzewka w takim sadzie,
w którym między rzędami uprawia się warzywa, ziemniaki
albo buraki cukrowe. Zainteresowało nas również to, co Go-
riaczkowski napisał o stosowaniu roślin okrywowych i o stoso-
waniu ściółki pod drzewami.

Na rośliny okrywowe jeszcze nie pójdziemy, ale ściółkę możemy zastosować już w tym roku, będzie to najlepszy sposób zabezpieczenia drzewek przed wysychaniem.

Niepokoi nas orka, bo nasze drzewka są płytko posadzone i źle obsypane. Żadnych kopczyków wokół drzewek na jesieni nie robiliśmy, odwrotnie — nawet dołków dobrze nie zasypaliśmy. Jeśli orka pójdzie zagonami do środka a bruzdami od strony drzewek, to nie tylko, że gleba zanadto się podsuszy, ale i korzenie mogą być poruszone. Należałoby orać skibami na drzewka, a bruzdami po środku.

Szukamy informacji o palikowaniu, bo chcemy dowiedzieć się, czy paliki z olszyny wyrosną jeśli się ich nie okoruje. Co do wierzbowych nie mamy wątpliwości, ale przy olszynowych różnimy się w zdaniach. Żadna z książek nic na ten temat nie mówi. Dowiadujemy się jednak, że nie jest rzeczą obojętną, od której strony paliki są wbite. Myśmy na ten szczegół nie zwracali najmniejszej uwagi i wbijaliśmy paliki jak popadło. Zastanawiamy się przez chwilę, którą stronę wybrać, czy południową ze względu na ochronę przed zgorzelą, czy zachodnią ze względu na wiatry i decydujemy się raczej na południową. Z tej części narady wyciągnęliśmy następujące wnioski:

- 1) zdjąć słomę z drzewek,
- 2) wierzbowe i olszynowe paliki wyjąć, ociosać i wbić z powrotem,
- 3) przywiązać drzewka do palików witkami,
- 4) zrównać dołki przy drzewkach,
- 5) obłożyć ziemię wokół drzewek słomiastym nawozem i plewami,
- 6) orać ziemię między rzędami w ten sposób, aby bruzda wypadła pośrodku,
- 7) ziemię w tym roku przeznaczyć pod uprawę ziemniaków i buraków pastewnych,
- 8) prace pielęgnacyjne rozpocząć w najbliższych dniach.

Pod koniec narady dyskutowaliśmy jeszcze nad zabezpieczeniem drzewek przed zającami. Ob. Stelmach zapytał, czy w tym

wypadku nie można by smarować drzewek dziegciem, którego zające nie lubią. Na to pytanie nie potrafiłem odpowiedzieć, bo nie wiedziałem czy dziegieć nie szkodzi drzewkom.

Siódma narada odbyła się bez książek i przekształciła się w zajęcia praktyczne. Przyjechał instruktor ogrodniczy Prezydium PRN, żeby nam pomóc w uformowaniu koron. Mieli-



Ale przyjemnie im było, że mogli się przed nim wykazać teoretyczną wiedzą

śmy fachowca z którym mogliśmy nie tylko rozmawiać, ale i wspólnie pracować. Do cięcia koron stanęli ob. Pawłowski i ob. Stelmach. W ciągu jednego dnia główny zabieg pielęgnacyjny w naszym sadzie został wykonany.

Instruktor ciekawy był co na temat formowania koron wiedzą członkowie brygady. Rozpytywał ich co myślą o takim zabiegu

dokonanym w pierwszym roku po posadzeniu drzewek, jak się zapatrują na cięcie z przewodnikiem i na cięcie bez przewodnika, ile chcą zostawić oczek w pędzie głównym i po której stronie chcą mieć ostatnie oczka w pędach bocznych. Tak sobie rozmawiał, niby radząc się, a na wszystko zwracał uwagę i wszystko notował w pamięci. Moi brygadziści czuli się trochę pod ostrzałem, ale przyjemnie im było, że mogli się przed nim wykazać teoretyczną wiedzą. Praktyczną stroną zabiegu kierował całkowicie on i wdzięczni mu byli za okazaną pomoc. Z następną partią drzewek dadzą już sobie radę.

Na ósmą naradę przywiozłem ze Stargardu smutną wiadomość: sadzonek morwy nie otrzymamy. Wydział rolny nie zamówił ich dla nas. Czyja wina — trudno dociec, ale odpowiedzialnym jest niewątpliwie kierownik wydziału, bo nasze zamówienie przyjmował osobiście i ręczył za jego wykonanie.

Trzy razy jeździłem w tej sprawie do Stargardu i trzy razy zapewniano mnie, że spółdzielnia sadzonki otrzyma, a gdy pojechałem po raz czwarty, żeby ustalić termin odbioru sadzonek ze względu na zbliżający się czas sadzenia żywopłotu, to dowiedziałem się, że nic w tym kierunku nie zrobiono i że spółdzielnia będzie musiała sama zwrócić się do Milanówka i stamtąd dla siebie sadzonki sprowadzić. Na tę operację było już za późno.

Nie mogłem zrozumieć dlaczego pracownicy wydziału rolnego przez dwa miesiące utrzymywali nas w błędzie, dlaczego nie powiedzieli od razu, gdzie w takiej sprawie powinniśmy się zwrócić. Przecież dla nas nie było nic prostszego, jak napisać wprost do Milanówka.

Teraz i granicy sadu nie da się utrzymać, czwarta część drzewek odpadnie i z biegiem czasu ulegnie zniszczeniu. Czuję się rozbity i nie mogłem oderwać myśli od tej sprawy.

— Większej szkody to chyba i zające nie mogą zrobić — roześmiał się Stelmach, który nigdy nie tracił humoru.

— Miczurinowi także nie wszystko szło gładko, a jednak robił swoje — zauważył Pawłowski pół żartem, pół serio. — Czego nie zrobimy wiosną to zrobimy jesienią, a prędzej czy

później żywoplot stanie. O jedno doświadczenie będziemy mądrzejsi i na drugi raz takiego błędu nie popełnimy.

Tematem narady miały być szkodniki drzew owocowych, a punktem wyjścia środek na zabezpieczenie drzew przed zającami, bo ob. Stelmach wyraźnie się tego domagał.

W *Doświadczeniach sadowniczych* znalazłem na ten temat bardzo interesującą wypowiedź i na niej oparliśmy cały nasz plan zabezpieczenia drzew przed zającami.

Poznając treść tego króciutkiego rozdziału uświadomiliśmy sobie, ile bezskutecznych zabiegów używali sadownicy, aby zabezpieczyć drzewa przed tym, skądinąd miłym stworzeniem i ile strat ponosiło sadownictwo w naszym kraju z powodu braku odpowiedniego środka.

Na tle tych zabiegów myśl Stelmacha o dziegciu nabierała jakiegoś poważnego znaczenia, nie dlatego, żeby rozwiązywała sprawę, lecz że szukała wyjścia z biedy, na którą jeszcze przed kilku laty nie było lekarstwa. Króciutki rozdział *Doświadczeń* zorientował nas, że poznawszy emulsję naftalinową wiemy obecnie tyle, ile wiedzą najlepsi sadownicy. Spomiędzy sześciu składników tej emulsji nie znamy tylko siarczanu miedzi, ale i z nim damy sobie radę, do jesieni zdążymy go poznać.

Szkodników i chorób drzewek jest bardzo dużo, ale poznawać wszystkich nie będziemy, bo to i czasu mało, i nic nas do tego nie zmusza. Zrobimy przegląd i wybierzemy takiego szkodnika, który najbardziej zagraża młodym drzewkom, dowiemy się o nim wszystkiego co trzeba i przed tym szkodnikiem zabezpieczymy nasz sad.

Biorę do ręki książkę Kochmana *Ochrona sadów* i zaczynam przerzucać kartę po kartce. Robię to tak, aby stroniczki były widoczne dla każdego z członków brygady. Zatrzymujemy się w tych miejscach, które nas zainteresują i wypowiadamy swoje uwagi.

- Jakieś skrobaczki — to nie dla nas — jeszcze za wcześnie.
- Leczenie ran — to chyba przy dużych drzewach.
- Ochrona ptaków — o tym będziemy musieli pomówić.

— Opaski chwytne i opaski lepowe — coś na ten temat wiemy, może opaskami wypadnie się zająć, gdy wybierzemy szkodnika.

— Ciecz siarkowo-wapienna — ona sama nas nie interesuje, a zwrot: „przy pomocy tzw. areometru Beaume“ odstrasza nas.

— Środki chemiczne owadobójcze — dobrze, tylko dajcie wpierw tego owada.

— Szare mydło... „najtańszy środek kontaktowy“ — co to jest ten „środek kontaktowy“ — to taki co niszczy przez skórę.

— Nikotyna... „do zwalczania mszyc“ — w porządku, tylko chcemy coś wiedzieć o mszycach.

— Środki chemiczne do jednoczesnego zwalczania chorób i szkodników — to cała apteka i w dodatku z wykresami.

— Aparaty do stosowania środków chemicznych — to na przyszłe lata, bo w tej chwili nie wchodzą w rachubę.

— Kalendarz opryskiwań...

— Zestawienie ważniejszych chorób i szkodników — dobrnęliśmy wreszcie do tej zgrai.

— Niestrzęp głogowiec — nieznan z nazwiska. — Krupówka rudnica — to samo. — Brudnica nieparka — to całkiem obce towarzystwo.

— A jak się to niszczy? — „Niszczyc zimowe gniazda“. Nasze drzewka nie mają żadnych liści to pewno i tych szkodników nie ma.

— Przędka pierścieniówka — to ta co obrączki na gałązkach zakłada — nasze drzewka nie mają takich obrączek.

— Namiotnik jabłoniowy — na tego szkodnika musimy uważać podczas wiosny i lata, nie damy mu rozbić namiotów, niech wędruje do lasu za cyganami.

— Mszyce, rak drzew owocowych, brunatna zgnilizna owoców, mącznik jabłoniowy, parch jabłoni, korówka wełnista, skorupik jabłoniowy... — przeraża nas ta cała falanga wrogów z którymi w niedalekiej przyszłości będziemy mieli do czynienia, ale za najgroźniejsze dla naszych drzewek uważamy

mszyce. Widzieliśmy je nieraz przy robocie i wiemy jakie spustoszenia potrafią wywołać.

O mszycach Kochman powiedział bardzo mało, toteż wróciliśmy do *Doświadczeń sadowniczych*. Czytamy rozdział pt. „Zwalczanie mszyc“ i komentujemy go.

Już w pierwszym zdaniu znajdujemy potwierdzenie naszego przekonania, że mszyca jest jednym z głównych szkodników. „Nie znajdujemy jej nigdy na starych gałęziach“ — to prawda, bo wybiera ona młode pędy i dlatego dla naszych drzewek jest szczególnie niebezpieczna.

Nie będziemy poznawali obecności mszyc po wędrownce mrówek — potrafimy obejrzeć całe gałązki wraz z listkami. Współżycie mrówek z mszycami rozumieliśmy błędnie. Byliśmy przekonani, że mrówki hodują mszyce tak jak my krowy. Lepiej, że się to wyjaśniło. Rolnik nie ma nic przeciwko mrówkom.

Będziemy mieli do czynienia tylko z zielonymi mszycami, bo na jabłoniach tylko te żerują. To ciekawe, bo spotykaliśmy mszyce i na zwykłym zielsku, tylko nie pamiętamy jakiego były koloru.

„Kilka mszyc wylęgłych na wiosnę może się rozmnożyć w miliony w ciągu roku“ — ale musi być susza, bo przy deszczu tak dużo ich nie ma. Mimo wszystko to jednak pełne draństwo! Jeżeli jaja mszyc są takie maleńkie, to do oględzin powinniśmy mieć powiększające szkło, bo inaczej nie zauważymy.

„Najlepiej zacząć od niszczenia jaj. Niszczymy je przez opryskiwanie w okresie uśpienia drzew“. Na temat opryskiwania unikamy rozmowy, bo nie mamy aparatu, zniechęca nas również ta karbolina emulgowana, karbolina DNK i krezotol, bo z tymi preparatami nie mieliśmy nigdy do czynienia.

Jest wyjście. Nasz „Azotox“ jest lepszy od tej karboliny emulgowanej. Kochman o nim nie wspominał, bo to środek nowy, tak jak emulsja naftalinowa, tylko że krajowego wyrobu. „Azotox“ jest nam znany, wiemy jak się z nim obchodzić i możemy go mieć pod dostatkiem.

„W świeżo posadzonym sadzie lepiej jest drzewek nie przyskać, a po prostu zanurzać gałązki do roztworu“ — to świetnie! Ta wskazówka to jakby specjalnie dla nas. Teraz już mszyce nie są dla nas groźne, damy sobie z nimi radę.

Ob. Parada przypomniał o ptakach. Chodziło mu głównie o sikorki, które w naszym sadzie nie mogą się zadomowić, bo drzewka są małe. Zaczęliśmy się dzielić tym co wiemy o tej ptaszynie i okazało się, że głównego przyjaciela sadu nie znamy. Ob. Parada zadeklarował zrobienie trzech domków dla ptaków, a my wybraliśmy miejsca, w których powinno się je zawiesić.

Wnioski z narady:

- 1) kupić w najbliższym tygodniu taką ilość „Azotoxu“, aby starczyło na 10 litrów emulsji 4%,
- 2) kupić składniki do emulsji naftalinowej według recepty zamieszczonej w książce *Doświadczenia sadownicze*,
- 3) pomóc ob. Paradzie w zawieszaniu na drzewach domków dla ptaków.



7. PRZEBIEG SAMOKSZTAŁCENIA W BRYGADZIE SYSTEMU TRAWOPOLNEGO

Żadna z brygad nie miała tak trudnego i tak długofalowego zadania, jak ta ostatnia. Powstała ona w wyniku starcia się wiary z niewiarą w wartości uspołecznionej gospodarki, wiary z niewiarą w naukę i wiedzę agrotechniczną, wiary z niewiarą w książkę fachową jako doradcę i nauczyciela, wiary z niewiarą w postęp i możliwość dźwigania się na wyższy poziom dobrobytu w ustroju socjalistycznym, a wreszcie — wiary z niewiarą w moją dobrą wolę i szczerą chęć przyjscia spółdzielni z pomocą.

Decydującą rolę w tym ścieraniu się postaw i poglądów odegrał W. Wiliams, bo w dyskusji podczas tego burzliwego wieczoru na nim się głównie opierałem. *Agrotechnikę* Wiliamsa przestudiowałem jeszcze w ubiegłym roku, gdy byłem w Kozielicach, a ponieważ czytałem to dzieło jak najpiękniejszą powieść, dużo z niej na zawsze pozostało w mojej pamięci. Jestem wyznawcą poglądu tego uczonego, że trawopolny system rolnictwa jest niezbędny dla gospodarki spółdzielczej i taki pogląd starałem się wytworzyć u spółdzielców.

Wydzielenie czterech hektarów ziemi przez walne zgromadzenie dla zapoczątkowania systemu trawopolnego oraz zgłoszenie się ochotnicze ob. Poczeczyńskiego, Kwiatkowskiego i Goduli do zespołu, który wziął na siebie odpowiedzialność za wprowadzenie w życie wskazań radzieckiej nauki i radzieckich doświadczeń, dowodziło, że wiara wzięła górę nad niewiarą i że teraz wszystko zależeć będzie od wyniku pracy tej brygady.

Spotkania członków brygady wyznaczaliśmy na każdą sobotę aż do odwołania.

Pierwsza narada miała się odbyć 27 lutego, ale odbyła się 1 marca, bo bieżące sprawy spółdzielni wymagały zwołania walnego zgromadzenia członków, a dzień sobotni na walne zgromadzenie najlepiej się nadawał. Z siedmiodniowej przerwy

zrobiła się przerwa dziewięciodniowa, a czas naglił, bo zbliżał się okres siewny.

Pomiędzy książkami przywiezionymi ze Szczecina nie znalazłem żadnej, która mówiłaby cośkolwiek o systemie trawopolnym. Zacząłem poszukiwania dzieł Williama. W miejscowej bibliotece ich nie było, a ponieważ pisemne zapotrzebowanie z Wojewódzkiej Biblioteki mogło by odnieść skutek dopiero po kilkunastu dniach, pojechałem w tej sprawie do Stargardu. W „Powiatówce“ znalazłem *Podstawy rolnictwa i Łąkarstwo* Williama, a uprzejme koleżanki zaopatrzyły mnie dodatkowo w komplet broszur Upowszechniania Wiedzy Rolniczej.

Przy okazji zaszedłem do Wydziału Rolnego Prez. PRN i prosiłem o pomoc przy wyborze mieszanki i przy zdobyciu nasion. Kierownik Wydziału przyrzekł mi jedno i drugie.

Wyjechałem ze Stargardu pełen dobrych myśli. Na poszukiwanie książki straciłem kilka dni, a ponieważ 25 lutego musiałem jechać z brygadą sadowniczą do Białogardu na wojewódzką konferencję bibliotekarzy, żeby koleżankom i kolegom dać okazję porozmawiania ze spółdzielcami, którzy biorą udział w samokształceniu rolniczym, na przestudiowanie więc *Podstaw rolnictwa i Łąkarstwa* przed naradą pozostało mi tylko trzy wieczory.

Teraz już prace Williama czytałem nie dla siebie, bo nie o zaspokojenie własnej ciekawości mi chodziło. Musiałem wybrać z nich to, co jest konieczne, aby członkowie brygady zrozumieli na czym polega ich zadanie i jak powinno być wprowadzane w życie.

Poza tym musiałem brać pod uwagę trudny do zrozumienia dla chłopów język naukowca i czas jaki nam pozostawał na pracę samokształceniową. Z rozdziału pierwszego — „Zależność wzajemna wody i pokarmów w glebie“ na pierwszą naradę zdecydowałem się wziąć następujące zagadnienia:

- wpływ struktury gleby na jej bilans wodny,
- wpływ struktury gleby na bilans wodny kraju,
- formy pokarmów roślin w glebie,
- sposoby regulowania bilansu pokarmowego gleby,

— bilans pokarmowy gleb strukturalnych i niestukturalnych.

Miałem pokusę krótkiego zreferowania tych zagadnień członkom brygady, żeby ich nie nużyć czytaniem tekstu, w którym znajduje się dużo nieznanymi im słów, ale nie chciałem rezygnować z zasady podawania wiedzy bezpośrednio z książki, bo to z jednej strony odbierałoby spółdzielcom przyjemność obcowania z autorem, a z drugiej — groziłoby spłyconiem materiału naukowego. Nowe słowa oznaczały nowe pojęcia, a tych pomijać nie mogłem.

Dni poniedziałkowe należały do brygady sadowniczej, toteż w naradzie poświęconej systemowi trawopolnemu wzięły udział obydwie brygady.

Zrozumienie wpływu struktury gleby na jej bilans wodny nie przedstawiało żadnych trudności. Spływanie względnie wsiąkanie wody zależnie od rodzaju wierzchniej warstwy ziemi spółdzielcy obserwowali niejednokrotnie. Nie wiedzieli tylko, że „pełne 100% wody pochodzącej z zimowych opadów spływa po powierzchni gleby niestukturalnej“ i że „gleba strukturalna pochłania całe 100% rocznych opadów atmosferycznych, a do gleby niestukturalnej rzadko kiedy przenika powyżej 30% letnich opadów“.

Jasny był również zstępujący i wstępujący ruch wody oraz zjawisko parowania i wysychania, które inaczej przebiega w glebie strukturalnej, a inaczej w glebie niestukturalnej.

Nowym zagadnieniem dla spółdzielców był wpływ struktury gleby na bilans wodny kraju. Wiedzieli, że na glebie niestukturalnej „każdy deszcz i każde wiosenne topnienie śniegu zmniejszają przestrzeń gruntów uprawnych i splukują stale narastającą warstwę rolną, w której od tysiącleci nagromadzały się pokarmy roślin będące jednocześnie pokarmami człowieka“, ale nie kojarzyli drobnych na pozór zjawisk zachodzących w ich polu widzenia z gwałtownymi wylewami rzek na wiosnę ani z tym, że poprzez te rzeki, wymyte z naszych pól „realne bogactwo narodowe spływa do morza“.

Wyjaśnienie zagadnień następnych szło trudniej. Tu w każdym niemal zdaniu mieściło się nowe dla spółdzielców pojęcie, nieznane dotychczas prawo, nieznane określenie lub wyraz. Musiałem co chwila przerywać czytanie, próbować objaśniać lub pytać, czy rozumieją o co autorowi chodzi.

Głównym celem jaki mi przyświecał tego wieczora było podkreślenie znaczenia gruzelkowej struktury gleby. Wszystkie inne sprawy traktowałem jako materiał pomocniczy, albo jako produkt uboczny i to pozwoliło mi uniknąć rozproszenia.

Pod koniec narady odczytałem ustalone przez Williama dwa pierwsze i główne zadania rolnictwa:

1. „Pierwsze zadanie to utworzenie struktury gruzelkowej gleby i zachowanie tej struktury w ciągu całego okresu pobierania pokarmów przez rośliny rolnicze“.
2. „Stąd to wynika drugie zadanie rolnictwa — okresowe odtwarzanie struktury gleby“.

Stelmach a za nim Kwiatkowski i Pawłowski domagali się, żeby czytać dalej i dowiedzieć się jak taką strukturę gruzelkową się tworzy i gdzie się ona podziewa, jeżeli trzeba ją ciągle odtwarzać. Było już bardzo późno i na dalszy ciąg narady inni członkowie nie mogli sobie pozwolić. Postanowiliśmy tylko, że o tych sprawach będziemy mówili w sobotę, to znaczy 6 marca.

Następnego dnia poszedłem z ob. Poczeczyńskim wybrać stanowisko pod planowaną mieszankę. Chodząc po polach zauważyłem w jednym miejscu ślady trawy nasiennej. Nie byłem pewien co to za trawa i zapytałem o to Poczeczyńskiego. On także nie wiedział, ale pamiętał, że w 1952 roku jesienią zasiano tu hektar kontraktowanej trawy, która w następnym roku tak dalece zarosła zielskiem, że Inspektorat Nasiennictwa w Stargardzie zrezygnował z niej i polecił dokonać zasiewu w innym miejscu. Ten hektar zachwaszczonej trawy włączono do pastwiska i pozostało z niej tyle, że ledwie kępki widać. Co będzie z tamtej nie wiadomo, bo dopiero ubiegłej jesieni została posiana. Pewno jedną i drugą trzeba będzie zorać. Przeszliśmy po tym hektarze wzdłuż i wszerz. Na zmarzniętej

ziemi odznaczały się wyraźnie kępki trawy, w rzędach nie było luk i na całym kawałku nie było widać gołych miejsc. Wyraziłem przekonanie, że warto by ten kawałek zatrzymać, bo jeśli państwo kontraktuje trawę, to musi być do czegoś potrzebna. W dalszej rozmowie dowiedziałem się, że ta sama trawa posiana jest jeszcze i w trzecim miejscu. To znaczy, że na jeden hektar kontraktacji zajęto aż trzy hektary spółdzielczej ziemi i wsiano trzy razy więcej nasion niż trzeba. W planie gospodarczym na rok bieżący dwa hektary tej trawy, która nie dała ani kilograma nasion, przewidziano do zaorania.

Postanowiłem dowiedzieć się co to za trawa i przynajmniej jeden hektar uratować od przyorywania.

Na zapoczątkowanie systemu trawopolnego wybraliśmy stanowisko po okopowych. Czterohektarowy kawał ziemi przylegający do łąki, a odcięty polnymi drogami od reszty obszaru spółdzielczego, najlepiej się do tego nadawał. W tym roku pójdzie tu jęczmień i owies. Jedno i drugie może doskonale służyć jako roślina ochronna dla naszej wsiewki. Byle tylko na czas zdobyć nasiona. Po powrocie z pola chcieliśmy sięgnąć do umów kontraktacyjnych, żeby dowiedzieć się czegoś konkretnego o tej sprawie, ale obywatela Goduli nie było i szafkę z teczkami zastaliśmy zamkniętą. Nie miałem pewności czy zjawi się w Dzwonowie za kilka dni, bo podobno wyjechał do Centrali, zdecydowałem się więc szukać wyjaśnienia w Stargardzie. Przy okazji chciałem zadzwonić do Biblioteki Wojewódzkiej i prosić o przyspieszenie wysyłki książek, bo wyraźnie odczuwałem brak *Agrotechniki* Williama oraz książki Czarnockiego o trawach, która nie tak dawno ukazała się na półkach księgarskich, a której tak samo jak i *Agrotechniki* nie mogłem zdobyć w Stargardzie.

W Inspektoracie Nasiennictwa dowiedziałem się, że interesująca mnie trawa to rajgras angielski, którego nasiona sprowadzamy z zagranicy i płacimy za nie obcą walutą. Prosiłem o bliższe szczegóły dotyczące zbioru i ceny jaką za wyprodukowane nasiona rajgrasu spółdzielnia może otrzymać. Z obliczeń inspektora wynikało, że średni zbiór nasion z hektara powinien

wynieść cztery kwintale, których wartość przekroczy 15 000 złotych. Nie trudno było przemnożyć piętnaście tysięcy przez trzy i otrzymać 45 000 złotych, które mogły wpłynąć do spółdzielczej kasy przy starannej pielęgnacji zasianej trawy. Taka suma mogłaby zwiększyć wartość roboczości o 3,75 złote. Postanowiłem zrobić co tylko będę mógł, aby rajgras uratować.

Z mieszanką traw na zapoczątkowanie trawopolnego systemu okazało się gorzej. Inspektorat Nasiennictwa w Stargardzie załatwić tego nie może i będziemy musieli w tej sprawie zwrócić się do Centrali Nasiennej w Szczecinie. Uzyskanie nasion nie będzie takie łatwe, jak to przed kilkunastu dniami zapewniał mnie kierownik Wydziału Rolnego.

Ostrożność Centrali Nasiennej była dla mnie przykrą niespodzianką. Usprawiedliwiałem ją jednak, bo jeżeli w wielu spółdzielniach na jeden hektar kontraktacji obsiewa się trzy hektary po to, żeby następnego roku dwa z nich zorać bez zebrania garstki plonu, jak to się zapowiada u nas, to z zapasem cennych nasion musi być naprawdę źle.

Z jedną tylko lucerną nie będzie kłopotu, bo roślina ta jest powszechnie uprawiana i nasion nie brakuje.

Druga narada zgodnie z planem odbyła się 6 marca. Postanowiłem przeprowadzić ją w oparciu o książkę M. Awajewa *Trawopolny system rolnictwa*, którą dzień przedtem otrzymałem z Biblioteki Wojewódzkiej i w oparciu o broszurę UWR *Agrotechnika 5 — Płodozmiany*.

Podstawy rolnictwa Williama w dalszych rozdziałach okazały się za trudne do czytania na naradzie. Chcąc z tej książki korzystać musiałbym przejść na formę referatów, a tego robić nie chciałem. Nie wiem dlaczego *Agrotechnika* tegoż autora wydała mi się dziełem tak pięknie i tak popularnie opracowanym. Żałowałem, że tej książki nie miałem przy sobie.

Na naradę, oprócz Poczeczyńskiego i Kwiatkowskiego, przyszedł także Stelmach i Pawłowski, których o to specjalnie prosiłem. Godula nie wrócił jeszcze z Centrali.

Postawiłem najpierw sprawę tych trzech hektarów obsianych trawą nasienną. Powiedziałem, jak się ta trawa nazywa, skąd ją

sprowadzamy i ile za nią płacimy. Wspomniałem także o możliwości uzyskania znacznej sumy za nasiona, jeśli rok dopisze i jeśli my zrobimy wszystko, co tej roślinie potrzeba do rozwoju.

Trochę głupio im było, że nie znali nazwy kontraktowanej przez siebie uprawy, nie wiedzieli również na co ten gatunek trawy jest potrzebny w rolnictwie, jaką ma przydatność agrotechniczną i jaką wartość paszową.

Widziałem, że nie mają przekonania do trawy, która sama sobie z zielskiem nie może dać rady. Siali ją przecie trzykrotnie i nic z tego nie wychodziło. Na moją propozycję zatrzymania całego obsiewu pokręcili głowami i nie śpieszyli się z odpowiedzią. W takich wypadkach ludzie są ostrożni i wolą nie wrywać się ze swoim zdaniem.

Po dłuższym namyśle pierwszy odezwał się Kwiatkowski:

— Nasiona traw to nie dla chłopu robota. Chłop potrafi siać zboże i sadzić kartofle, potrafi to zboże sprzątnąć i kartofle wykopać, ale na trawach tyle się tylko zna, żeby pójść na łąkę, wykosić ją gdy urośnie, wysuszyć i zawieźć siano do stodoły. Chłop się na trawach nie zna i nie powinien sobie tym głowy zawracać.

Wypowiadając to robił takie ruchy prawą pięścią, jakby każde słowo chciał przybić do stołu, przy którym siedział.

Stelmach miał zwyczaj przeciwstawiania się wypowiedziom Kwiatkowskiego, co bynajmniej nie znaczyło, że się z jego zdaniem nie liczy. Tym razem, jak zwykle, nie wytrzymał, pochylił się nieco w kierunku przedmówcy, zatrzymał na nim swoje drapieżne spojrzenie i bijąc dla odmiany pięścią w krawędź stołu, jakby ją chciał od całości odłupać, wrzasnął na całe gardło.

— Co ty z chłopu robisz durnia! Czy myślisz, że nasiona traw dla twojej krowy będą urzędnicy w mieście na biurkach produkowali? Albo, że robotnicy w fabrykach ze złomu ci ich narobią? Czy trawy nie na ziemi rosną? A ziemia to czyj warsztat, nie chłopski? Na naszą łąkę w zeszłym roku to skąd brałeś nasiona? Melioracja przywiozła, prawda? A kto dał meliorację, państwo dało — nie? A skąd państwo weźmie,

jeżeli chłop powie, że nasiona traw to nie jego robotą? Z zagranicy będzie sprowadzać i angielskiemu chłopu grube pieniądze płacić, co? Bo według ciebie polski chłop jest do tego za głupi, tak?

Pod taką nawałnicą słów Kwiatkowskiemu powieki zamrugały, jakby mu wiatr pyłem w oczy dmuchnął. Chciał coś powiedzieć i nawet już usta otworzył, ale Pawłowski go uprzedził, wołając swoim miłym, trochę śpiewnym głosem.

— Nie macie racji, Stelmach, nie macie racji! Wy niepotrzebnie wszystkich chłopów bierzecie w obronę, bo Kwiatkowskiemu najwidoczniej o jednego tylko chłopą chodziło. Przecie on wyraźnie mówił — „Chłop się na trawach nie zna“. On najwidoczniej siebie miał na myśli, bo ten rajgras to on zakontraktował, gdy był przewodniczącym. Podpisał umowę i nie wiedział na co, a gdy trawa wyrosła, to nie potrafił jej od ziel-ska odróżnić.

W podobny sposób przemawiali do siebie jeszcze po kilka razy, ale wreszcie ustalili, że dwa hektary rajgrasu zostaną, a jeden musi być zaorany ze względu na konieczność rozmieszczenia wszystkich upraw przewidzianych w planie gospodarczym.

Teraz dopiero przyszła kolej na pracę z książką. Zgodziliśmy się, że najpierw będziemy szukali odpowiedzi na pytania postawione w końcu ubiegłej narady, a potem dokonamy wyboru mieszanki traw do zapoczątkowania systemu trawopolnego.

Zabierając się do czytania książek, przedstawiłem zebrany nowych autorów i nowe podręczniki. O Awajewie powiedziałem, że jest popularyzatorem teorii systemu trawopolnego stworzonej przez Wiliamsa, a o Bireckim i Piekielniaku, że streścili kilka książek w jedną broszurę, żeby nam łatwiej było z nich korzystać.

Odpowiedź na pytanie „Gdzie się podziewa gruzelkowata struktura gleby, jeżeli ją trzeba ciągle odtwarzać?“ — znaleźliśmy u Awajewa w krótkim podrozdziale zatytułowanym „Przyczyny niszczenia struktury gruzelkowej i utraty przez nią trwałości“.

Przeczytałem ten podrozdział i zatrzymałem się na chwilę, żeby członkom brygady dać możliwość wypowiedzenia się. Wszyscy byli zdania, że Awajew nie powiedział nic takiego, czego by oni już nie wiedzieli i że każdy z nich, jak by się dobrze zastanowił, to by tak właśnie rzecz sobie wytłumaczył. Po uprawionej ziemi depcą konie, depcą ludzie, gniotą ją koła wozów i maszyn, mieszają talerzówki, kultywatory i brony, więc nic dziwnego, że gruzelki się niszczą.

Każdy rolnik wie również z własnego doświadczenia, że po kilku latach uprawiania roślin jednorocznych na tym samym miejscu — gleba się wyczerpuje, traci gruzelkowatość i przestaje dawać plony.

Jedną tylko rzecz, według swego mniemania, znaleźli nową i nie całkiem zrozumiałą dla siebie, a mianowicie — czym jest próchnica, a czym gruzełek, czy próchnica jest gruzelkiem, czy ona tworzy gruzelki z ziemi. Chcieli, żebym im to wyjaśnił.

Zapytałem czy rozumieją na czym polega mineralizowanie próchnicy, o czym Awajew wspomina, i dlaczego to mineralizowanie powoduje rozpadowanie się gruzelków. Ale i to nie było dla nich jasne.

Wniosek był tylko jeden — nie rozumieją roli próchnicy w budowie gruzelków, a w związku z tym nie rozumieją biologicznych przyczyn zaniku struktury gruzelkowej.

Poprosimy Awajewa — rzekłem — niech on nam to wytłumaczy, bo po to „zaprosiliśmy“ go na dzisiejszą naradę. Ja mam prawo wiedzieć tyle, co i wy, a nawet mniej, bo nie jestem zawodowym rolnikiem. Na jedną rzecz tylko musicie się zgodzić — trzeba dać Awajewowi godzinę na wykonanie tej pracy, a on za jednym zamachem wyjaśni nam również jak się odtwarza strukturę gruzelkową po jej zniszczeniu.

— A będzie można przerwać temu obywatelowi jak zacznie głądzić? — zapytał głośnym szeptem Stelmach i zerknął wymownie najpierw w stronę leżącego przede mną podręcznika, a potem w stronę Kwiatkowskiego.

— Myślę, że tak, tylko nie walcie pięścią w stół, bo gotów pomyśleć, że jesteśmy pijani i straci chęć do rozmowy —

odpowiedziałem mu takim samym szeptem dostrajając się do jego tonu.

Uśmiechnął się szeroko do Kwiatkowskiego i pokazał mu dwa rzędy mocnych, białych zębów. Ten, na przesłany uśmiech odpowiedział uśmiechem, ale bardziej skąpym.

Do czytania przygotowałem dwanaście stron przeplecionych ośmioma rysunkami. Była to akurat połowa trzeciego rozdziału noszącego tytuł „Organizacja agrotechniczna użytków zielonych w płodozmianach trawopólnych“.

W tej części Awajew zamieścił następujące zagadnienia:

- właściwości krzewienia traw jednorocznych,
- pora obumierania roślin jednorocznych,
- właściwości krzewienia wieloletnich roślin zielnych,
- okres obumierania wieloletnich roślin zielnych,
- wpływ roślin zielnych jednorocznych i wieloletnich na żyzność gleby,
- tworzenie się gruzelkowatej struktury gleby pod wpływem wieloletnich traw luźnokępkowych,
- znaczenie uprawy wieloletnich roślin motylkowych w mieszankach z wieloletnimi trawami luźnokępkowymi.

Materiał potrzebny do wyjaśnienia interesujących nas zjawisk znajdował się w trzech ostatnich podrozdziałach i do nich mogłem ograniczyć czytanie połączone z dyskusją. Objąłem jednak i pierwsze 4 podrozdziały, bo uważałem, że przed omawianiem wpływu roślin zielonych jednorocznych i wieloletnich na warunki żyzności gleby, należy poznać różnice między tymi roślinami, gdy chodzi o ich rozwój i o ich wzrost.

Czytanie przerywał nie tylko Stelmach, robili to wszyscy, chociaż nie z tego powodu jaki on przewidywał. Pierwszy zrobił to Pawłowski, gdy czytałem poniższą charakterystykę wpływu roślin jednorocznych na urodzajność gleby:

„Użytki zielone jednoroczne, podobnie jak wszystkie inne jednoroczne rośliny uprawne, nie odnawiają zapasu próchnicy w glebie. Martwa masa ich resztek poźniwnych odkłada się w glebie latem. W tym okresie gleba zawiera najmniejszą ilość wody, a tym samym największą ilość

powietrza. Dlatego rozkład materii organicznej przebiega szybko i resztki rozkładają się całkowicie. 15—20 dni po zbiorach roślin jednorocznych nie można znaleźć w glebie resztek ich korzeni. Związki rozkładają się całkowicie, przy czym tworzy się dwutlenek węgla, woda i proste sole mineralne przyswajalne przez rośliny“.

— A czy te sole mineralne mogą być wypłukane przez deszcze? — zapytał, chociaż dobrze wiedział, że tak jest.

— Mogą i zwykle bywają — odpowiedziałem.

— To dlaczego zaraz po zbiorach podorujemy ścierniska, jeśli na tym miejscu nie mamy zamiaru siać ozimych? Przecież to wszystko po dwóch tygodniach się rozłoży, jesienne deszcze przemyją ziemię i do wiosny śladu z tych soli nie zostanie.

Poczeczyński z Kwiatkowskim próbowali tłumaczyć, że resztki przyorywane dostają się głębiej i nie są tak szybko rozkładane, jak korzenie. Ale to nawet ich samych nie przekonywało, bo podorywkę robi się płytko i warunki rozkładu ścierniska są nawet lepsze niż rozkładu korzeni bez podorywki. Wyjaśnienia tej sprawy nie mogłem dać bezpośrednio od siebie i odłożyliśmy ją na później.

Stelmach zaraz na drugiej stronie znalazł miejsce, gdzie Awajew charakteryzuje wpływ roślin zielonych wieloletnich na żyzność gleby. Poruszyło go końcowe zdanie tej charakterystyki:

„Przy tym żywe korzenie roślin wieloletnich rozdrabniają masę warstwy ornej na drobne, strukturalne gruzelki, które próchnica przenika i skleja“.

Znalazł w nim, jak mu się wydało, potwierdzenie swojego poglądu na rolę próchnicy w tworzeniu gruzelków i chciał to bezzwłocznie wykorzystać.

— A nie mówiłem od razu, że próchnica nie jest gruzelkiem, tylko tworzy gruzelki z ziemi? Czegośta się sprzeczałi?

Wypowiadając to przenosił równocześnie wzrok z jednego uczestnika narady na drugiego, jakby chciał dodać — spróbuj zaprzeczyć, że tak nie mówiłem.

— Mówiłeś, mówiłeś! — podjął ze śmiechem Kwiatkowski, ale to wcale nie znaczy, że miałeś rację. Tutaj Awajew najwyraźniej co innego mówi. Według niego próchnica tylko wsiąka w gotowy gruzełek i zlepia go, a same gruzełki to robota korzonków. Czego ty chcesz ludziom oczy mydlić, że się na wszystkim znasz?

Przy tej okazji odezwali się inni, ale wszyscy przyznawali rację Kwiatkowskiemu.

Stelmach uśmiechnął się, machnął ręką i dał spokój. Nawet nie czekał co ja powiem. Ja tymczasem sięgnąłem do *Podstaw rolnictwa* i na poparcie wypowiedzi Kwiatkowskiego pokazałem ilustracje systemów korzeniowych — lucerny w siewie czystym, lucerny wysianej z rajgrasem francuskim, oraz koniczyny czerwonej.

Zdjęcia mówiły same za siebie i mocniej przekonywały niż słowa.

W dalszym czytaniu krótsze uwagi, przytaknięcia a nawet zaprzeczenia padały dość często, ale do dłuższej wymiany zdań doszło tylko w dwóch miejscach, w których autor dotyka natury samej próchnicy. Przytoczę te urywki, bo były one punktem wyjścia do rozważań mało znanych spółdzielcom.

1. „Przy bakteryjnym rozkładzie resztek roślinnych powstaje świeża próchnica. Nagromadzenie materii organicznej chroni próchnicę przed rozkładem. Dzięki czemu próchnica gromadzi się w glebie.“

2. „Trwałość struktury gleby silnie wzrasta, gdy wraz z wieloletnimi luźnokępkowymi trawami wysiewa się wieloletnie rośliny motylkowe. Te głęboko korzeniące się rośliny wyciągają z dolnych warstw gleby wapno, potrzebne im w dużych ilościach. W górnej części systemu korzeniowego wieloletnich roślin motylkowych gromadzi się duża ilość substancji odżywczych, między innymi białkowych. Te ostatnie zawierają dużo azotu, siarki i wapnia. Przy rozkładzie roślinnych resztek motylkowych tworzą się wapniowe sole kwasu azotowego i siarkowego. Próż-

nica pochłania wapń tych soli, uzyskując dzięki temu trwałość, tj. odporność na rozpyływanie się w wodzie.“

Przy pierwszym urywku zabrał głos Pawłowski. Przeprosił, że przerywa czytanie i zarzucił mnie pytaniami.

— Co to jest ten bakteryalny rozkład — kierownika — i jakie mogą być inne rozkłady? Co to są bakterie, jak one wyglądają i co robią? Co to jest ta świeża próchnica, czym ona jest lepsza od starej, bo jeśli jest mowa o świeżej, to musi być także nieświeża, czyli stara. I w ogóle czym jest jedna i druga? Wyjaśnijcie to sami, bo z tym Awajewem na pewno niejedną jużście rozmowę przeprowadzili i więcej on wam zdążył powiedzieć niż nam powie tego wieczora.

W pierwszej chwili sądziłem, że Pawłowskiemu chodzi o sprawdzenie, czy ja we własnej głowie mam ten materiał uporządkowany i czy będę mógł zastąpić książkę. W podobny sposób pytania Pawłowskiego musiał zrozumieć i Stelmach, bo spojrzał na mnie z niepokojem jakby przypuszczał, że sobie rady nie dam i zaczął brać rzeczy na wesoło, aby mi w ten sposób „pomóc“. Mówił, że oprócz rozkładu bakteryalnego zna także rozkład kolejowy, że widział gdzieś przy drodze rozkład jazdy autobusów i że słyszał o jakimś rozkładzie moralnym, tylko nie wie gdzie on jest i do czego służy. O świeżej próchnicy nie chciał w ogóle słyszeć, bo uważał, że mu jego „stara“ wystarczy.

Zrozumiałem jednak swój błąd. Pomiąłem cały rozdział drugi traktujący o systemach rolnictwa, w którym jest wiele szczegółów o życiu bakterii i o próchnicy. Pomiąłem również nie mniej ważny wstęp. Śpieszyłem się. Chodziło mi o to, żeby jak najszybciej dokonać wyboru mieszanki.

Przyznałem się do błędu i powiedziałem z czego on wyniknął. Na potwierdzenie słuszności pytań postawionych przez Pawłowskiego odczytałem następujący urywek ze wstępu książki Awajewa:

„Tak więc wytwórczość rolnicza opiera się na: 1) uprawie roślin zielonych, 2) chowie zwierząt i 3) rozwoju roślin niezielonych — mikroorganizmów. W związku z tym

składa się ona z trzech elementów: produkcji roślinnej, zwierzęcej i uprawy roli. Są one nierozdzielalne i wzajemnie związane z sobą.“

Objasniłem co należy rozumieć pod roślinami niezielonymi, dla rozwoju których przewidziana jest uprawa roli.

W oczach spółdzielców bakterie wyrosły, nabrały wagi. Nie przypuszczali, że dla takich „mikrusów“ przeznaczona jest cała ich najcięższa robota w polu.

Omawiając liczbę tych żyjatek przytoczyłem jedno tylko zdanie wzięte z *Podstaw rolnictwa*:

„Najnowsze badania ujawniają, że w niektórych glebach zawartość bakterii w 1 cm sześciennym substancji glebowej wyraża się już nie milionowymi, ale miliardowymi cyframi.“

W porównaniu z taką masą — liczba ludzi na kuli ziemskiej zbladła, a bakterie nabrały jeszcze większego znaczenia.

Wyglądu mikroorganizmów nie mogłem opisać, ale skorzystałem z rysunku znajdującego się na 127 stronie tegoż dzieła i wyręczyłem się nim.

Na pytanie „co robią“ — odpowiedzieliśmy sobie wspólnym wysiłkiem, bo cóż innego mogą robić bakterie niż robią wszystkie rośliny, zwierzęta i ludzie — po prostu żyją, to znaczy rodzą się, rozwijają, rozmnażają i giną. A ponieważ do życia potrzebny jest pokarm, więc o ten pokarm na pewno się starają nie gorzej niż my.

W tym miejscu myślenie zespołowe utknęło. Spółdzielcy wiedzieli, że bakterie odżywiają się resztkami roślinnymi, ale nie wiedzieli co to ma wspólnego z „odkładaniem“ próchnicy i z jej zamianą na sole mineralne niezbędne do życia roślin.

Cofnąłem się do pominiętego przeze mnie rozdziału i przeczytałem z niego jedną tylko stroniczkę 33, na której znajdują się podstawowe wiadomości zarówno o bakteriach jak i o próchnicy.

Odczytanie tej stroniczki wystarczyło, abyśmy mogli w rozważaniach swoich pójść dalej i wyjaśnić sobie, że:

1. próchnica to nic innego, tylko odchody bakterii beztlenowych,
2. próchnicę „odkładać“ mogą tylko bakterie beztlenowe,
3. świeża próchnica ma zdolność sklejaną gruzelków, a stara tej zdolności nie posiada,
4. próchnica „odłożona“ przez bakterie beztlenowe jest pokarmem dla bakterii tlenowych, które spożywając ją wydzielają sole mineralne jako własne odchody,
5. sole mineralne „odkładane“ przez bakterie tlenowe są pokarmem dla roślin,
6. wieloletnie trawy i rośliny motylkowe sprzyjają rozwojowi bakterii beztlenowych, a tym samym „odkładaniu“ próchnicy w glebie,
7. z rozpadu zamierających bakterii powstają związki przyswajalne przez rośliny,
8. oprócz rozkładu resztek organicznych może być również rozkład chemiczny, który ma miejsce np. przy paleniu łącin i suchej trawy.
9. bez bakterii nagromadzona w roślinach masa organiczna nie mogłaby wrócić do ziemi i ziemia przestałaby rodzić.

Przy drugim urywku rozmowa obracała się wokół procesów biochemicznych zachodzących w glebie, a rozpoczęła się od próby wyjaśnienia na czym polega różnica między wapnem a wapniem.

Spółdzielcy utożsamiali wapno z wapniem, albo widzieli w nim skalę wapienną. Żaden z nich nie wiedział, że wapń jako ciało proste jest metalem i że takiemu właśnie metalowi próchnica zawdzięcza swoją odporność na rozpyływanie się w wodzie.

Trudno było przejść do porządku nad brakiem zasadniczych pojęć z dziedziny przyrody, ale równie trudno było wytłumaczyć, jak taki metal poprzez sole tworzone z kwasem azotowym czy siarkowym wchodzi w związek z próchnicą. Niczego nie

mogłem tu zademonstrować, niczego unaocznić, bo nie posiadałem nawet kawałka tego metalu, żeby im pokazać choćby to, jak on reaguje z wodą.

— No widzisz chłopie — odezwał się Stelmach do Kwiatkowskiego pod koniec tej gawędy — myślałeś pewnie, że w tej ziemi nic się nie dzieje, że tam panuje bezruch i jak w bryle kamienia martwota, a okazuje się, że tam co skiba to fabryka, co korzeń to maszyna, a co gruzełek to armia robotników, która na ciebie pracuje. Żebyś tylko umiał pokierować tymi pomocnikami i dać im na czas co trzeba, to by ci chleba nie zabrakło.

— Do naszej pracy przydałoby się takie wiejskie laboratorium, jakie mają kolchozy w ZSRR — zauważył Poczeczyński, który o takim urządzeniu słyszał coś niecoś od swojej żony — można by tam niejedno zebrać, niejedno urządzić, zobaczyć i wypróbować.

Przyklasnąłem takiej myśli i opowiedziałem jak w 1950 roku starałem się założyć takie laboratorium w młodzieżowej spółdzielni produkcyjnej i jak sprawa utknęła w korespondencji między Zarządem Wojewódzkim ZMP, a Zarządem Głównym tejże organizacji.

— Do tego kiedyś jeszcze dojdziemy — rzekł Pawłowski — ale nam teraz potrzebna jest rozmowa z kimś, kto trawopolny system wypraktykował od początku do końca, kto zasiał te trawy, kosił je dwa czy trzy lata, prowadził płodozmian według zaleceń Williama i obliczył co mu to dało w porównaniu z latami, gdy gospodarował tak, jak my dziś gospodarujemy. Z takim człowiekiem mielibyśmy o czym pogadać, mielibyśmy go o co zapytać i nie szlibyśmy po tej nowej drodze na ślepo, jak teraz idziemy.

Nie znałem książki, która mogłaby zastąpić spółdzielcom rozmowę z tego rodzaju praktykiem. Obiecałem, że się o nią postaram. Byłem przekonany, że jeśli nie w polskim to w rosyjskim języku taka książka już wyszła.

Wyboru mieszanki dokonaliśmy w oparciu o broszurę UWR Agrotechnika 5 — *Płodozmiany*. Znaleźliśmy tam krótką charakterystykę najważniejszych wieloletnich traw i składy mie-

szanek proponowane przez różnych fachowców dla różnych warunków glebowych. Rozpatrywaliśmy i jedno, i drugie, ale nie stać nas było na komponowanie mieszanki we własnym zakresie. Zdecydowaliśmy się więc pójść za wskazówkami inż. A. Modzelewskiej, bo jej mieszanka wydała się nam najbardziej odpowiednia dla naszych warunków.

Zamówienie na 60 kg lucerny, 76 kg rajgrasu francuskiego i 10 kg kupkówki sporządziliśmy od ręki i przygotowaliśmy je do wysłania pod adresem Centrali Nasiennej.

Na trzecią naradę trudno się było członkom brygady zebrać: to goście ze Szczecina i z Warszawy zajęli połowę dnia i połowę nocy, to Łebkowski wyprawiał chrzciny, to kilku Józefów obchodziło dzień swoich imienin, to Godula popadł w kłopoty rodzinne i nie wiedział jak z nich wybrnąć, to wyjazd przedstawicieli brygad do Szczecina na spotkanie z bibliotekarzami przesunął termin — i tak bez narady w tej brygadzie upłynęły trzy tygodnie.

Rzecz sama była już zdecydowana i nikt nie wątpił, że wsiejemy mieszankę jeśli nadejdą nasiona. Ale był już najwyższy czas, żeby pomyśleć o przygotowaniu tych czterech hektarów pod nową uprawę i nowy płodozmian.

Spółdzielcy wyraźnie tego nie doceniali, co było widać choćby po ich stosunku do rajgrasu, który marniał na polu z powodu wyboru złego stanowiska, złej obróbki ziemi, braku zasilenia nawozami sztucznymi i braku pielęgnacji. Pokutowało wśród nich przekonanie, że wieloletnie trawy i rośliny motylkowe powinny dawać sobie radę w każdym warunkach i bez specjalnego zachodu.

Od tego niebezpieczeństwa chciałem mieszankę uchronić, bo całe doświadczenie zależało od tego czy pójdzie dobrze, czy zakorzeni się jak należy i czy da w przyszłym roku obfite pokosy wysokowartościowej paszy.

Zebrałiśmy się wreszcie 27 marca w takim składzie jak przy naradzie drugiej. Przybył tylko ob. Godula.

Przyniosłem ze sobą *Agrotechnikę* Williama, którą w kilku egzemplarzach otrzymałem przed tygodniem z Wojewódzkiej

Biblioteki Publicznej, znaną już spółdzielcom książkę Awajewa i broszurę Plebańskiego *Uprawa lucerny*.

Obejrzenie ilustracji znajdujących się w *Agrotechnice* zabrało kilkanaście minut, a mogłoby zabrać i cały wieczór, gdyby czas nie naglił.

Szczególne zainteresowanie wywołały fotografie drzew olbrzymów mających po kilka tysięcy lat. Dziwowali się wszyscy, że drzewa mogą tak długo żyć i próbowali ustalić datę biblijną „narodzin“ sosny kalifornijskiej, przez której pień jak przez tunel przechodzi droga dla przejazdu wozów i samochodów.

— Mama tej sosny to chyba w raju rosła i Ewę pamięta — zawyrokował Stelmach i razem z innymi snuł domysły, ile to ciekawych rzeczy mogłaby ona powiedzieć, gdyby mówić umiała. Musiałem ich od tych frapujących rozważań odrywać.

Zaproponowałem rozpatrzenie „systemów uprawy roli“ w oparciu o książkę Awajewa, żeby zaplanować obróbkę ziemi pod naszą mieszankę.

— Czy trzeba brać zaraz wszystkie „systemy“, żeby ustalić jak pod tą mieszankę ma być ziemia uprawiona? — zapytał z odcieniem niedowierzania Kwiatkowski.

Nie zdążyłem mu odpowiedzieć, bo Pawłowski zwrócił się do mnie z bardziej kłopotliwym pytaniem.

— A jak jest z tymi nasionami, kierowniku, bo podobno nie zanoszą się na to, żebyśmy je otrzymali? Tak przynajmniej mówią ci co byli z wami w Szczecinie.

Byłem się tego pytania, bo sprawa nasion nie przedstawiała się dobrze. Naszego zamówienia jeszcze nie wysłano do Warszawy.

— To jak możemy planować wsianie mieszanki w jęczmień i owies, kiedy my chcemy zakończyć siew kłosowych do 15 kwietnia.

— Czy chcecie przez to powiedzieć, że powinniśmy odłożyć zapoczątkowanie systemu trawopolnego do przyszłego roku?

— Nie, nie o to mi chodziło. Tylko po co zastanawiać się nad przygotowaniem tych czterech hektarów, jeśli się nie ma

pewności, że coś z tego wyjdzie. Moglibyśmy ten wieczór przeznaczyć na coś innego, na przykład na omówienie lucernika, którego domaga się brygada chlewni i który już był dyskutowany na walnym zgromadzeniu. Nasiona lucerny w GS-ie już są. Mówili mi o tym, gdy byłem w Marianowie.

Odsunąłem książkę Awajewa i wziąłem do ręki broszurę Plebańskiego.

— Zgoda, ob. Pawłowski — rzekłem — tamten temat odłożymy na później, a dziś zabierzemy się do przestudiowania lucerny i do zaplanowania lucernika. Przy rozpatrywaniu tej sprawy potrzebna nam będzie ta oto książka, którą specjalnie na dzisiejszą naradę przyniosłem. Lucerna jest zresztą głównym składnikiem naszej mieszanki i zdobywając wiedzę o niej nie odbiegniemy daleko od rozważań na temat systemu trawopólnego.

Stelmach i Poczeczyński byli przekonani, że lucernę dobrze znają i że z wyborem miejsca nie będą mieli najmniejszego kłopotu, ale przy konkretnej próbie co jeden uznał za dobre, to drugi za złe.

— A cóż wy wiecie o porze wysiewu lucerny, albo o jej potrzebach — zwrócił się do obydwu Godula — ja sam wiem tylko tyle, że lucerna jest dobrą paszą i że kosi się ją kilka razy do roku. I wy więcej ode mnie nie wiecie, boście jej nie uprawiali, tak samo jak ja. Pawłowski był za traktowaniem lucerny jako rośliny nowej dla spółdzielców i to przeważało. Chodziło tylko o to, żeby w ciągu jednego wieczora wyczerpać materiał, przedyskutować wszystko jak należy i zdecydować co trzeba.

Do takiego streszczenia byłem przygotowany, bo czytając broszurę w domu podkreślałem w niej fragmenty i zdania najbardziej istotne. Z obliczeń moich wynikało, że zamiast 40 stron będę miał do przeczytania najwyżej 40 zdań, w których zamyka się cała wiedza o lucernie.

Musiałem poinformować spółdzielców w jaki sposób dokonam skrótu i uprzedzić ich, że każde zdanie będzie czymś w rodzaju zasady, reguły czy wskazówki, nad którą warto się zastanowić.

Umówiliśmy się, że po każdym przeczytanym urywku będzie można zabierać głos, aby wyrazić swój stosunek do zaleceń podawanych przez autora. Czytałem wolno i każde zdanie zamykałem krótką pauzą:

„Lucerna jest królową roślin pastewnych“.

„W naszych warunkach daje z 1 ha największy plon doskonałej paszy“.

„Dobrze zebrane siano z lucerny ma taką samą wartość jak pszenne otręby“.

— Przesada — zaopiniował Poczeczyński.

„Dobry plon siana z lucerny z 1 ha da nam tyle paszy ile da owies z 4 ha“.

— Czy to znaczy, że siano z 1 ha lucerny może mieć taką wartość jak 64 q owsa? — zapytał Stelmach i spojrzał po innych, jakby chciał sprawdzić czy nie mają podobnych wątpliwości.

— Tak by znaczyło, jeśli z hektara liczycie 16 q owsa — odpowiedziałem.

„Dopiero 5 czy 6 ha łąki może zastąpić nam 1 ha lucerny“.

— Szlag by go trafił — wyrwało się Stelmachowi, czym jeszcze raz zdradził się, że o takiej wartości lucerny pierwszy raz słyszy.

„7 kg siana lucernianego wraz z odpowiednim dodatkiem okopowych, lecz bez otrąb i makuchów, jest wystarczającą dzienną paszą dla krów o przeciętnej rocznej mleczności 4000 litrów“.

Tu Godula zapytał, ile kwintali siana daje 1 ha lucerny, a otrzymawszy odpowiedź, że 80 q, zaczął głośno obliczać. 14 krów po 7 kg to w zaokrągleniu — 1 kwintal dziennie. Na 6 miesięcy zimowych wyniesie to 180 kwintali. Na taką ilość siana lucernianego potrzeba 2,5 ha lucernika.

— Ot i macie rozwiązanie bazy paszowej dla spółdzielczej obory. A gdy się uda z tą wsiewką na 4 hektarach to będziemy mieli pod dostatkiem paszy białkowej i dla krów, i dla świń. Wtedy hodowla tak będzie u nas stała. Wymawiając ostatnie słowa zrobił znany gest ręką zgiętą w łokciu, a oznaczający więcej niż „dobrze“.

„Lucerna pozostaje w polu na tym samym miejscu od 4 do 5 lat, nie potrzebujemy przez ten czas pola ani uprawiać, ani zasiewać“.

— Wackowi Dąbrowskiemu to by się podobało, bo on jak ten ptak niebieski — nie orałby, nie siał, a zbierał, byle dużo — roześmiał się któryś z przybyłych do biura członków spółdzielni.

„Lucerna jest ze wszystkich roślin uprawnych najlepszym przedplonem“.

— O tym to my coś niecoś wiemy — odezwał się Kwiatkowski zerkając w stronę Stelmacha — to z powodu tych korzonków, tej próchnicy i tych gruzelków wzmacnianych przez wapno.

— Chłopie, chłopie — zaczął go upominać Stelmach — ty nigdy nie nauczysz się mówić prawidłowo po polsku. To nie wapno jest potrzebne do tego wzmocnienia próchnicy, tylko wapień. Zapamiętaj to sobie: wapień.

— Stelmach, nie róbcie mi wstydu — zaczął rozbawiony Godula — daliście o dwie litery za dużo, to nie wapień tylko wapń, zapamiętajcie sobie: w-a-p-ń.

— A diabli z nim, niech nie myśli, że mu tych liter żałuję.

„Hodowlane gospodarstwa chłopskie w Czechosłowacji zasiewają ponad 10% swojej ziemi ornej lucerną i na niej opierają cały wychów młodego inwentarza.

— Ile, ile? — zapytał Pawłowski, jakby nie dosłyszał.

— Dziesięć procent — powtórzyłem.

— To u nas wypadłoby 17 hektarów na te 10 procent.

— Nawet jeszcze z arami — uzupełnił Godula.

— Nie chce mi się wierzyć, bo co by oni z tym robili. Chyba, że łąk nie mają.

— Mają i łąki, a robią to czego wy się boicie — hodują dużo krów i dużo świń, a wy uważacie, że spółdzielnia nie będzie mogła wyżywić swoich 30 krów, które ma w planie na 1955 rok. Policzcie na ile to sztuk bydła starczyłoby paszy z 17-hektarowego lucernika, pewno i setka by się w tym zmieściła.

— A czym taką gromadę karmilibyśmy latem?

— I na to rada by się znalazła.

„Lucerna należy do roślin motylkowych i pochodzi z suchych okolic Azji Środkowej i Azji Mniejszej, skąd rozpowszechniła się na cały świat“.

Poczeczyński wyraził wątpliwość czy to takie ważne, skąd jaka roślina pochodzi i Kwiatkowski z Godułą mieli możliwość wyjaśnić mu na czym ta ważność polega.

— Nie chodzi o to — tłumaczyli — jak się ten kraj nazywa, chociaż i to jest ciekawe, ale o to, jaki w tym kraju jest klimat, bo lucerna, tak jak każda roślina, szuka takich warunków w jakich się wychowała. Jeśli nie będziesz wiedział co ona lubi, to nie będziesz umiał jej hodować i tyle na tym wygrasz. Masz tu na przykład powiedziane, że pochodzi z suchych okolic, a to już znaczy, że w suchych miejscach da sobie radę, a na podmokłych nie pójdzie.

Na ich żądanie musiałem pokrótce scharakteryzować warunki klimatyczne Azji Środkowej i Azji Mniejszej, a równocześnie powiedzieć, jakie tam żyją narody.

„Wychowanie najlepszej odmiany krajowej zawdzięczamy chłopom z Miechowskiego i stąd ta odmiana nosi nazwę „miechowskiej“.

Tu Stelmach z radości aż trzepnął się po kolanach i obróciwszy roześmianą twarz w stronę Kwiatkowskiego wypowiedział co czuje.

— No widzisz, że chłopcy znają się na trawach, bo nie tylko sieją i sprzątają, ale potrafią wyhodować krajową odmianę z takiego gatunku, który przywędrował do nas z innych części świata. Szkoda, że nie jestem z Miechowskiego, bo mógłbym powiedzieć, że i ja w tym brałem udział.

— Jak oni to zrobili, kierowniku? Przeczytajcie coś więcej o tych miechowiakach, bo mnie to interesuje.

Przeczytałem ten urywek do końca i wywołał on ciekawą wymianę myśli na temat możliwości wykorzystania wszelkiego rodzaju ziela, które rośnie po rowach i miedzach bez pożytku dla człowieka.

„Najbardziej odpowiednimi do siewu lucernami będą zawsze odmiany krajowe“.

— To jasne, tylko dlaczego w magazynie GS na workach z lucerną są jakieś obce napisy? Czyżbyśmy własnego nasienia nie mieli?

„Wody zaskórnej lucerna nie znosi. Woda nie może być bliżej powierzchni ziemi jak 150 cm“.

— To już jest drugie, czym należy kierować się przy wyborze stanowiska pod lucernę — zauważył Kwiatkowski.

„Nie wolno siać lucerny w kwaśnych sapach, ziemiach torfiastych lub żytio-łubinowych“.

„Lucerna doskonale rośnie na lessach, madach, rędzinach, borowinach, czarnoziemach, bielicach pojezierskich i nadrzecznych, różnych glinach, szcerkach, a nawet dobrych piaskach“.

— Lessów, madów, rędzin, borowin i czarnoziemów nie mamy — zaopiniował Poczeczyński — ale bielice, gliny i szcerki są. Będzie w czym wybrać.

Zrobiliśmy próbę wyboru. Braliśmy pod uwagę i ten kawałek za sadem, bo blisko, i ten za łąką koło Mądrego, bo dobry dojazd, i ten przy ścieżce do Bobrownik, oddzielony od reszty pola, ale Kwiatkowski uparł się, żeby z tym poczekać, aż wszystkie wskazówki zostaną odczytane i odłożyliśmy wybór na później.

„Roślina, która dużo daje, musi w zamian dużo dostać. Jeśli obficie nawozimy pod rośliny, które nam dają jednorazowy wielki plon, to tym bardziej trzeba wynawozić pod lucernę, która będzie nam dawała duże plony przez 4—5 lat“.

Cudów nie ma — odezwał się Godula — z lucerną to tak jak z dobrą krową — da ci dużo mleka, gdy ją dobrze nakarmisz, a nie dasz jej czego potrzebuje, to odejdziesz z pustym wiadrem.

„Lucerna lubi dobrze przegniły obornik, dlatego najlepsze dla niej stanowisko jest po okopowych, które dostały dobrą dawkę nawozu“.

— Teraz już mam wszystko, co mi potrzeba do wyboru stanowiska pod lucernę — odezwał się Kwiatkowski.

— Nie tylko ty masz. Ale chciałeś czekać końca, to wstrzymaj się teraz z bólami aż doktor przyjdzie — odciął mu Stelmach.

„Bez dobrego nawożenia przegniłym obornikiem, pod roślinę poprzedzającą zasiew, lepiej nie siać lucerny, bo może nam się nie udać“.

— Twardo stawia te rzeczy obywatel inżynier.

— Tym lepiej, będziemy wiedzieli czego się trzymać.

„Nie trzeba żałować lucernie nawozów sztucznych“.

— Ale jakich, bo przecież są różne.

— Dalej będzie o tym mowa.

„Najważniejsze jest jednak wapnowanie. Bez wapnowania na większości gleb w Polsce lepiej nie siać lucerny“.

— To pewno na te „substancje białkowe“ jak się wyraża Awajew.

— A przecież on mówił, że lucerna ciągnie wapno głównym korzeniem z głębszej warstwy ziemi.

— Bo tak jest, ale lucerna dusi się w kwaśnej glebie i trzeba dawać wapno, żeby te kwasy usunąć.

— Ile trzeba dawać tego wapna na hektar?

— To zależy od kwasowości, ale bez jej mierzenia Plebański radzi od 20 do 50 kwintali palonego i uważa, że lepiej dać go za dużo niż za mało.

— Mogliby przyjechać i pomierzyć tą kwasowość.

„Nawożenie tomasówką i solą potasową jest ważne zwłaszcza na glebach słabszych i niezupełnie odpowiednich dla lucerny“.

„Nawożenia azotowego, a więc azotniaków, saletry i saletrzaków lucerna nie potrzebuje“.

— Przynajmniej to dobrze, bo azotowych zawsze mamy za mało.

„Głęboka orka na 25—30 cm jest wskazana zwłaszcza na rolach o wysokiej kulturze i położonych na żyznym podglebiu“.

— Chyba traktorem, bo nasze konie nie wezmą tak głęboko.
„Na glebach słabszych na gorszym podglebiu lepiej nie orać tak głęboko i nie wyrzucać na wierzch tzw. martwicy“.

— A kto by takie głupstwa robił.

„Nie wolno umieszczać nasienia zbyt głęboko. Nasiona powinny znajdować się na 1—2 cm pod powierzchnią, a więc płycej niż nasiona koniczyny“.

— To trzeba siać ręcznie, bo siewnikiem nie da rady tak płytko.

— Zdaniem Plebańskiego „siew rzutowy jest mało wskazany i trzeba go unikać“.

— A co on ma przeciwko siewowi rzutowemu?

— On przyznaje, że siew rzutowy „pozwala na bardzo płytke umieszczenie ziarna i daje przeważnie dobre wschody, ale za to uniemożliwia późniejsze gracowanie oraz międzyrzędową uprawę“.

— Gracować lucerny to już na pewno nikt u nas nie będzie, szkoda gadać, do tego się ludzi nie przekona. My z burakami w ubiegłym roku nie mogliśmy dać rady.

„Jako roślina ochronna najlepszy jest jęczmień, a później owies“.

— Puścimy jęczmień tak samo jak mieszankę.

„Jeżeli dopuścimy do dojrzewania ziarna rośliny ochronnej i sprzątniemy je w normalnym czasie, to wpłynie to ujemnie na rozwój lucerny i odbije się niekorzystnie na plonie roku następnego“.

— To wypadłoby kosić jęczmień na zielonkę i ten co będzie w nim lucerna, i ten co będzie w nim mieszanka.

— Nie wytrzymamy, zabraknie ziarna na śrutę.

„Najlepszy jest zawsze siew czysty“.

— I stara baba wie, że w niedzielę święto.

— Nie zawsze z tym świętem jednakowo wychodzi, bo rajgras wysiany był w siewie czystym i źle na tym wyszedł.

„Najbardziej odpowiednim okresem dla siewu lucerny jest druga połowa maja“.

W tym miejscu Pawłowski spojrział na mnie i uśmiechnął się. Wiedziałem o czym myśli — chodziło o mieszanke. Nie byłoby za późno, gdyby nasiona nadeszły w drugiej połowie maja.

„Jeżeli ją siejemy w roślinę ochronną, to możemy zasiać dużo wcześniej, a więc w drugiej połowie kwietnia“.

— To i jęczmień na tym kawałku należałoby później zasiać.

— Dojdzie na czas, nie ma obawy.

„Na 1 ha średniej ziemi i w klimacie środkowej Polski wysiewamy 12—25 kg nasion“.

— Gdzie mniej, a gdzie więcej, bo między liczbami jest duża różnica.

— Chyba mniej na lepszej ziemi i w stronach cieplejszych, a więcej na gorszej ziemi i w stronach chłodniejszych — próbował wyjaśnić Godula.

— Zgadza się co do joty. Tak właśnie radzi Plebański.

„Lucerna nie znosi sąsiedztwa chwastów i ginie w ich towarzystwie“.

— Dlaczego na tym świecie jest taki porządek, że wszystko co dobre musi ginąć w towarzystwie złego? — pomyślał głośno Kwiatkowski i dał tym początek rozmowie, która odbiegła od tematu i której końca nie było widać.

Zdania były podzielone i dyskutujący zmieniali co chwila swój punkt widzenia. Wypadało i mnie zabrać głos, żeby powiedzieć co o tym myślę i żeby sprowadzić rozmowę do punktu wyjścia.

— Moglibyśmy mówić o tym niejedną wieczór — stwierdziłem w końcu — jest o czym i dużo nawzajem mielibyśmy sobie do powiedzenia, ale praca naszej brygady jest także formą walki o dobro i musimy wrócić do lucerny, żeby jej chwasty nie niszczyły. Zgoda?

— Zgoda, ale szkoda — powiedział Stelmach i przeszedł do porzuconego tematu.

— Nic innego, tylko trzeba wybrać odchwaszczony kawałek pola, żeby z lucernikiem nie wyszło to samo co z rajgrasem —

rozpoczął Pawłowski — i myślę, że nadawałby się do tego ten kawałek na górcie przy pegerowskiej koniczynie. Jest nieda-
leko i dobry dojazd.

„Lucerna zbierana na paszę jest tym lepsza i pożywniejsza im jest słodsza“.

— O tym każdy wie, bo to samo jest z każdą trawą — pochwalił się swoją wiedzą Poczeczyński.

— Każdy wie i każdy robi inaczej — usłyszał odpowiedź. Nasze siano dlatego jest właśnie diabła warte, że jest prze-
kwitłe.

„Kosimy lucernę 3—4 razy w ciągu roku, przy czym jeden z pokosów dopuszczamy do pojawienia się pierwszych kwia-
tów“.

— Jak kwitnie ta miechowska odmiana?

— Ona kwitnie niebiesko, granatowo i fioletowo, bo należy do odmiany siewnej.

— A inne odmiany to się sadzi czy jak, że do siewnych nie należą?

— Plebański mówi o dwóch gatunkach lucerny: siewnej i sierpikowatej. Obydwa gatunki wysiewa się jednakowo, tyl-
ko nazwa wprowadziła was w błąd. Siewna ma takie kwiaty jak mówiłem, a sierpikowata kwitnie żółto.

Zainteresowanie odmianami poszło dalej i musiałem cofnąć się do rozdziału, w którym Plebański te rzeczy omawia. Wy-
szło to na pożytek spółdzielców, bo dowiedzieli się o innych odmianach, które pochodzą ze skrzyżowania siewnej z sierpi-
kowatą.

„Nie trzeba kosić niżej jak na 6 cm od ziemi, natomiast osta-
tni pokos przed zimą musi pozostać wyższy, co najmniej 10 cm nad ziemią“.

— To chyba dlatego, żeby śniegu nie zniosło, bo ona boi się mrozu — zauważył któryś.

„Najlepiej jest zawsze suszyć ją na kozłach“.

„Nie wolno lucerny zbierać z pokosów i trząść na polu jak siano i potem składać na kupki“.

— To tak jak z koniczyną — trzeba uważać, żeby się kwiat nie obsypał.

— Kwiat jak kwiat, bo tam go będzie mało, ale tu o listki chodzi i o ten cały drobiazg, który się łatwo kruszy. Takie rzeczy mamy i przy peluszcze, i przy wyce, i przy seradeli, a mało na to zwracamy uwagi.

W ten sposób doszliśmy do końca broszury. Wypowiadał się każdy jak umiał, jak mu pozwalał jego zasób wiedzy. Każdy był sobą, po swojemu myślał i po swojemu reagował.

— Plebański zrobił swoje — rzekłem, gdy wyczerpała się rozmowa na temat ostatniej wskazówki o lucernie. Dzięki niemu wiadomości mamy jako tako uporządkowane, znamy wartość lucerny, wiemy czego wymaga i możemy zaplanować jej uprawę tak, aby gospodarka spółdzielcza miała z tego pożytek.

Teraz musicie zdecydować, ile ziemi dacie pod lucernik, gdzie dla niego wyznaczycie miejsce, czy dacie lucernę w czystym siewie, czy w roślinie ochronnej, jak zrobicie z orką i wapnowaniem, czy wysiew zrobicie ręcznie czy siewnikiem, bo to są sprawy, które do was należą i których nikt za was nie załatwi.

Dalszy ciąg narady nie trwał już długo. Spółdzielcy jedne i te same rzeczy mieli na widoku i bardzo szybko dochodzili do porozumienia.

W wyniku narady zdecydowali:

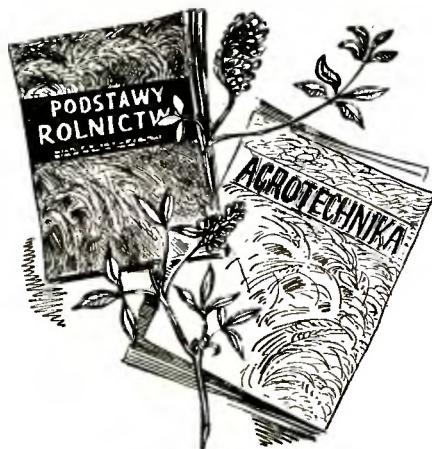
- 1) założyć lucernik na jednym hektarze,
- 2) wyznaczyć mu miejsce koło pegerowskiej koniczyny,
- 3) orać możliwie głęboko, ale bez pogłębiacza,
- 4) dać wapna palonego przynajmniej 20 kwintali,
- 5) zasiać lucernę w jęczmień jako roślinę ochronną,
- 6) zasiać siewnikiem w takich odstępach jak zboże, bez myśli o gracowaniu,
- 7) wysiać przynajmniej 20 kg nasienia,
- 8) wstrzymać się z siewem do drugiej połowy kwietnia,
- 9) traktować lucernik jako podstawę do wyżywienia trzody chlewnej w okresie letnim.

Czwarta narada odbyła się w drugiej połowie kwietnia, ale bez udziału książki. Chodziło o zdecydowanie co zrobić z tym czterohektarowym kawałkiem ziemi zarezerwowanym pod mieszankę. Odpowiedzi z Centrali Nasiennej nie było, a z sieciem jęczmienia i owsa spółdzielnia dłużej czekać nie mogła.

W magazynie mieliśmy 50 kg mieszanki łąkowej składającej się z 12 gatunków różnych traw. Była również lucerna, którą zakupiliśmy w GS-sie. Brakowało nam tylko rajgrasu francuskiego i kupkówki, żeby sporządzić mieszankę proponowaną przez inż. Modzelewską.

Mieliśmy do wyboru — albo zmieszać lucernę z tamtymi trawami i wysiać ją w jęczmień i owies na tych czterech hektarach, albo dać spokój całej robocie i odłożyć ją do przyszłego roku.

Zdecydowaliśmy się na to pierwsze dla samej próby co z tego wyjdzie. W połowie maja Centrala Nasienna zawiadomiła nas, że rajgras i kupkówkę możemy otrzymać, ale już było za późno — „nasza“ mieszanka już rosła.



III. ZAKOŃCZENIE

Pod wpływem samokształcenia, pod wpływem narad, wyjazdów i odwiedzin, których było kilka z Warszawy i kilka ze Szczecina, spółdzielcy raźniej zabrali się do pracy niż w roku ubiegłym — wcześniej przychodzili rano na punkt zborny, krótsze robili przerwy obiadowe i dłużej zatrzymywali się w polu. Toteż siewy ukończyli w terminie i mogli wcześniej zabrać się do takich zabiegów pielęgnacyjnych, jak zasilanie roślin nawozami sztucznymi, redlenie, pielenie, spulchnianie ziemi i przerywanie.

Przy obróbce buraka cukrowego i cykorii doszło nawet do współzawodnictwa, które omówiliśmy na jednej z narad i które zainicjował Stelmach.

Zwiększona aktywność członków spółdzielni w akcji wiosennej odbiła się korzystnie na wegetacji roślin. Za włożoną pracę ziemia płaciła urodzajem.

Na początku lata zapowiadały się dobrze zboża ozime i zboża jare, i ziemniaki, i len, i trawy na łąkach, i motylkowe na polach, ale dumą wszystkich spółdzielców były buraki i cykoria. Takich buraków i takiej cykorii jeszcze nie mieli. Lotna komisja lustrująca plantacje zakwalifikowała buraki jako pierwsze w powiecie, a cykorię jako pierwszą w województwie i przyznała nagrodę pieniężną, za którą spółdzielcy kupili dodatkowy parnik do chlewni, pług dwuskibowy i wialnię.

* *
*

Teraz już w spółdzielni było co pokazać. Przyjezdny miał po co zajrzeć do obory, gdzie Dąbrowski masażami wycyganiał mleko od krów, miał po co zajrzeć do chlewni, gdzie Pasiorbkowska z Germańską zamieniały dawne cherlaki w przyzwoite tuczniaki, miał również po co wyjść w pole, gdzie wśród bujnej zieleni królował Stelmach ze swoją brygadą. Wszędzie mógł zauważyć rzetelną pracę, narastający dorobek i pełen swoistej serdeczności stosunek człowieka do człowieka.



...gościom pokazywali wszystko co mieli

Dzwonowo uważane dotychczas za jedną z najgorszych spółdzielni produkcyjnych w powiecie, zaczęło wysuwać się ku przodowi, zaczęło być widoczne od strony zmian idących na lepsze. To spowodowało, że wycieczka chłopów z Lubelszczyzny w tym roku została skierowana do Dzwonowa.

Cieszyli się spółdzielcy z tego wyróżnienia, bo ono potwierdzało ich własne przekonanie, że weszli na drogę, która może ich wkrótce wyprowadzić z biedy.

Gościom pokazywali wszystko, co mieli najlepszego. Brali udział w rozmowach i odpowiadali na pytania z taką znajomością rzeczy, że pozazdrościłby im niejeden dobrze wyszkolony propagator spółdzielczości produkcyjnej. Aż dziwili się później sami sobie, skąd się w ich głowach tyle wiedzy o spółdzielni zebrało.

Pożytek z odwiedzin odnieśli nie tylko lubliniacy. Ten pożytek był również udziałem spółdzielców: na tle gromadki indywidualnych rolników, których myślenie gospodarcze nie wybiegało poza granice kilku hektarów, poczuli, że są od nich silniejsi, że patrzą dalej i widzą szerzej, poczuli, że są kolektywem.

* *
*

Dalej sprawy szły bez mojego udziału. Samokształcenie rolnicze musiałem przerwać, bo zaangażowany na stanowisko nauczyciela i kierownika szkoły byłem tylko do czerwca.

Ciągłość pracy zawodowej była warunkiem ciągłości pracy ze spółdzielcami i właśnie tego warunku mi brakowało. Okres roczny skrócił się do czterech miesięcy, a stąd i wyniki pracy z książką dalekie były od zamierzonych.

Koszalin, dn. 7 listopada 1955 r.

OD WYDAWNICTWA

Dalsze losy spółdzielni produkcyjnej w Dzwonowie nie były pomyślne. Gospodarstwo, które wiosną rokowało jak najlepsze nadzieje, jesienią przedstawiało obraz dezorganizacji na wszystkich odcinkach.

Ludzie szukali przyczyny tego stanu i szukali winnych. Książce nie mogli niczego zarzucić. Tam gdzie się do niej odwoływali pomagała im, radziła, rozszerzała ich wiedzę. Zło tkwiło w kierownictwie spółdzielni. Pierwsze sukcesy uderzyły do głowy przewodniczącemu, który coraz bardziej odrywał się od ziemi, a co najgorsze, przestawał liczyć się ze zdaniem spółdzielców. Ta postawa nie mogła nie odbić się na gospodarce spółdzielczej.

Jedynym wyjściem z impasu była zmiana przewodniczącego, czego dokonano na walnym zgromadzeniu spółdzielców. Jak dalej potoczą się losy spółdzielni w Dzwonowie i jakie miejsce w życiu i w pracy jej członków zajmie książka — będzie zależało od samych spółdzielców.



WYKAZ KSIĄŻEK, KTÓRE BYŁY PODSTAWĄ SAMOKSZTAŁCENIA ROLNICZEGO W SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNEJ W DZWONOWIE

1. E. DOMAŃSKI, L. JAŚKIEWICZ, E. GRABDA — *Choroby trzody chlewnej, leczenie i zapobieganie*
2. *Poradnik weterynaryjny*
3. S. ALEKSANDROWICZ — *Pastwiska i zielonki w żywieniu świń*
4. S. HOSER — *Chów trzody chlewnej*
5. J. KIELANOWSKI — *Chów świń*
6. Z. GRUZINA — *27 prosiąt od maciory*
7. J. DĄBROWSKI — *Jak dobierać i nabywać zwierzęta dla spółdzielni produkcyjnej*
8. J. KIELANOWSKI — *Chów trzody chlewnej (Zootechnika 6)*
9. J. KIELANOWSKI — *Chów trzody w fermie spółdzielczej (Zootechnika)*
10. T. MAJEWSKI, R. FITKO — *Higiena i zapobieganie chorobom zwierząt (Zootechnika 9)*
11. B. BOROWIK — *Chów cieląt i jałowizny*
12. K. JEDLIŃSKI — *Zapobieganie chorobom bydła*
13. ST. SZTEJMAN — *Jak stworzono rekordowe karawajewskie stado*
14. M. KWASIEBORSKI, M. GĘBKA — *Jak zwiększyć mleczność krów*
15. M. KWASIEBORSKI — *Jak zwiększyć mleczność krów*
16. Z. GOLONKA — *Gospodarstwo pastwiskowe*
17. F. ABGAROWICZ — *Baza paszowa (Zootechnika 2)*
18. H. JASIOROWSKI — *Chów bydła (Zootechnika 4)*
19. J. KWASIEBORSKI — *Chów bydła w spółdzielni produkcyjnej (Zootechnika)*
20. *Doświadczenia sadownicze*
21. D. WANIC — *Sadownictwo*
22. J. KOCHMAN — *Ochrona sadów*

23. S. PIENIAŻEK — *Pogadanki agrobiologiczne*
24. I. MICZURIN — *Dziela wybrane*
25. *Pomologia polska*
26. W. GORIACZKOWSKI — *Sad*
27. K. GOLAŃSKI — *Hodowla morwy białej*
28. K. GOLAŃSKI — *Chów jedwabnika morwowego*
29. E. MAR — *Bohaterska pszenica*
30. D. STARZEŃSKI — *Kukurydza i koński ząb*
31. S. LEWICKI — *Jarowizacja zbóż*
32. T. ŁYSENKO — *Agrobiologia*
33. T. PLEBAŃSKI — *Uprawa lucerny*
34. *Agrotechnika*
35. W. WILIAMS — *Podstawy rolnictwa*
36. W. WILIAMS — *Łąkarstwo a powierzchnia paszowa*
37. M. AWAJEW — *Trawopolny system rolnictwa*
38. S. KOŚCIELNY — *Przewodnik do oznaczania pospolitych traw*
39. B. DOBRZAŃSKI, M. STRZEMSKI — *Gleba i jej żyzność (Agrotechnika 3)*
40. M. BIRECKI, F. PIEKIELNIAK — *Płodozmiany (Agrotechnika 5)*
41. C. LEWANDOWSKA — *W świecie pszczół*

SPIS TREŚCI

I. W poszukiwaniu drogi	7
1. A jednak chłop sięga po książkę	7
2. Książka może pomóc chłopu w budowaniu lepszego jutra	9
3. Książka jeszcze nie pomaga spółdzielcom	11
4. Szukam książek oraz metody wiązania ich z gospodarką	18
II. Przy warsztacie pracy	21
1. Moja „baza“ i moje wyposażenie	21
2. Ustalamy zadania gospodarcze dla pracy samokształceniowej	22
3. Tworzymy „brygady“	24
4. Przebieg samokształcenia w brygadzie chlewni	34
5. Przebieg samokształcenia w brygadzie obory	46
6. Przebieg samokształcenia w brygadzie sadowniczej	65
7. Przebieg samokształcenia w brygadzie systemu trawopólnego	83
III. Zakończenie	112
Od Wydawnictwa	115
Wykaz książek, które były podstawą samokształcenia rolniczego w spółdzielni produkcyjnej w Dzwonowie	117





6
KT

621



21. 1. 1955